

*Z przysłów polskich:*

## Nowy Rok

# 2013

*nastaje,  
każdemu  
ochoty  
dodaje*

### W numerze

- ◇ Michał Tadeusz Kozera:  
Epoka żelaza w Europie  
„Turcy w natarciu i Arabowie” cz. VI
- ◇ Michał Tadeusz Kozera:  
„Rekonstrukcja Starej Synagogi w Przemyślu”
- ◇ Michał Tadeusz Kozera:  
„Historia 'Bronzowego' Krzyża”
- ◇ Emil Palej:  
„Notatki z mego życia” –  
cd.
- ◇ Zenon Rogala:  
„MISCELLANEA”  
ab imo pectore
- ◇ „Półka z książkami”
- ◇ „Z życia Stowarzyszenia”



# EPOKA ŻELAZA W EUROPIE

Michał Tadeusz Kozera

W poprzednim odcinku dotarliśmy z opisem do IV wieku naszej ery w Europie. Czas na ciąg dalszy. Zatem: - część VI

## TURCY W NATARCIU I ARABOWIE

**Z**anim przejdziemy do kolejnych najeźdźców tureckiego pochodzenia czas wspomnieć o tak zwanym Państwie Samona. Najwięcej ciekawych informacji na jego temat znalazłem w książce Witolda Chrzanowskiego „Świętopętk I Wielki, król Wielkomorawski (ok. 844-894)”, wydanej przez Wydawnictwo Avalon w 2010 roku.

Jak tytuł wskazuje, książka dotyczy dziejów innego władcy słowiańskiego, ale autor wspominał także o Samonie i jego dziejach. Nie mógł zresztą tego nie zrobić, gdyż niektórzy autorzy przed nim (choćby niejaki Tomáš Pešina z Čechorodu, żyjący w latach 1629-80, dziekan katedry w Pradze czeskiej) uważali Państwo Samona za protoplastę państwa Wielkomorawskiego. A jest to kompletna bzdura. Zainteresowanych większą ilością informacji odsyłam do książki Witolda Chrzanowskiego.

Dla mnie istotne były tylko fakty opisujące tego Samona i jego powiązania ze Słowianami.

Na jego temat istnieje tylko jedno źródło historyczne. To kronika niejakiego Fredegara, który opisał w niej dzieje Austrazji. Składa się ona zasadniczo z trzech części. Do 584 roku

jest kompilacją dzieł starszych autorów, od 584-643 roku jest dziełem wspomnianego tu kronikarza, a w latach 643-768 była kontynuowana przez następnych autorów. Wymieniona tu Austrazja to jedna z części Królestwa Franków, która jest położona w dorzeczu rzeki Mozy i środkowego Renu. Zatem leży na terenie dzisiejszej Belgii.

*W kronice tej Fredegar wspominał, że niejaki Samon – kupiec frankijski wyruszył z obwodu Senonagus, wraz z innymi kupcami, do Słowian (Sklawinów) zwanych także Winidami (a dokładniej przezywanych Winidami, bo tak można także tłumaczyć łacińskie słowo „cognomento”). Stało się to w 40 roku panowania króla Chlotariusza (łac. Chlotharius). Będąc na miejscu Samon walczył u boku Słowian. Ponieważ regularnie zwyciężał Awarów (zapewne pomagał zwyciężać Słowianom), to obwołali go królem. Panował u nich 36 lat. Miał 12 żon, z których urodziło mu się 22 synów i 15 córek. Z innego tekstu Fredegara wiadomo jeszcze, że Samon pokonał króla Dagoberta w bitwie pod Wogastisburgiem. Część Franków uciekła na swoje ziemie.*

Jest to oczywiście tylko streszczenie, ale w oryginalnym tekście nie jest także zbyt długi. Trudno się dziwić. Wszak kroni-

ki w tamtych czasach pisano ręcznie i zapewne tylko w dzień. Świece – do oświetlania miejsca pracy – były bardzo drogie.

Po przeprowadzeniu analizy innych źródeł historycznych wyłonił się następujący obraz całej historii.

*Samon wyruszył z Neustrii w państwie Franków do Słowian zwanych również (przezywanych?) w 624 roku, za panowania Chlotara II (króla Neustrii w latach 584-629 i króla Franków w latach 613-623). Jego celem był handel z tymi Słowianami. Dlatego zachęcił również innych kupców, aby z nim udali się na tę wyprawę. Na miejscu okazało się, że Słowianie przystąpili do wojny z Awarami. Jakimś sposobem wkraść się w ich łaski i pomógł im zwyciężyć Awarów. W podziękę Słowianie awansowali swojego dobroczyńcę na swojego wodza (króla?). Panował tam przez 35 lat (czyli do 659 roku). Miał 12 żon, które urodziły mu 22 synów i 15 córek.*

*Syn Chlotara II – Dagobert I (ur. ok.600, zm. 639) został królem Austrazji w latach 622-634, a po śmierci ojca królem Państwa Franków – w latach 629-639. Władca ten najechał Państwo Samona i został pokonany w bitwie pod Wogastisburgiem. Jego Frankowie uciekli na swo-*

*je ziemie. Przynajmniej ci, którzy przeżyli. Nie znamy daty rocznej tej bitwy. Należy jednak sądzić, że stało się to w okresie jego panowania nad całym Państwem Franków – czyli gdzieś w latach 629 a 639.*

Dodajmy do tego drugie dno tej historii, którego nie ma w kronice Fredegarda.

Moim zdaniem Samon nie był zwykłym kupcem, jak go przedstawił kronikarz. Mógł być klasycznym przykładem najemnika. Znamy ludzi takiej profesji z niedawnych czasów, z drugiej połowy XX wieku. Przypomnijmy. Zawodowi żołnierze byli wysyłani na misje wojskowe do różnych krajów celem ustanowienia „właściwej” władzy w danym kraju, dogodnej dla ich mocodawców. W XX wieku robiły to oba mocarstwa – zarówno Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Samon został wysłany – jako najemnik – na podobną misję przez króla Chlotara II celem skłócenia Słowian i Awarów. Król zapewne bał się, że współpraca obu tych narodów doprowadzi do unicestwienia Państwa Franków. A może przed wyprawą Samona już taki atak Awarów i Słowian miał miejsce? A może dokonali już ataku na sąsiednie plemiona germańskie wywołując panikę i strach?

Faktem jest, że Awarowie w 626 roku zaatakowali Cesarstwo Wschodniorzymskie (czyli w dwa lata po wyruszeniu Samona do Słowian). Faktem jest też, że cesarz wschodniorzymski Herakliusz zaprosił Słowian – w 634 roku – w swoje granice, aby bronili go przed najazdami Awarów. Widocznie docenił ich siłę i zdolność walki z tureckim plemieniem. Niezależnie od tego, że musiał udać się na połu-

dnie celem poskromienia zapędów wojennych Arabów.

Kiedy jednak władzę w Państwie Franków przejął syn Chlotara II – Dagobert I (w 632 roku), sytuacja mogła ulec istotnej zmianie. Najprawdopodobniej Dagobert nie znał lub nie chciał znać uzgodnień Samona z jego ojcem i zaatakował Słowian. Stało się to gdzieś między 632, a 639 rokiem (może ktoś z czytelników Quod Libet zna dokładniejszą datę? – prosiłbym o kontakt – uwaga M. K.). Podczas bitwy pod Wogastisburgiem Frankowie salwowali się ucieczką. Przynajmniej ci, którzy przeżyli wcześniejszy atak Słowian Samona. Może sam Dagobert zginął w tej bitwie (z danych biograficznych wynika, że zmarł w wieku około 39 lat – przyp. M. K.)? Wówczas bitwę moglibyśmy datować na 639 rok. Ale to tylko domniemanie.

Dodajmy do tego jeszcze jedno spostrzeżenie, którego jakoś nikt wcześniej nie wziął pod uwagę. Samon powędrował w 624 roku z Neustrii do Słowian szlakiem „naddunajskim”, (pokazanym chociażby na rys. nr 5, a znanym przynajmniej od czasów rzymskich, czyli od około 14 roku n.e. – przyp. M. K.). Wtedy bowiem Dunaj był rzeką graniczną i tylko dobra droga zapewniała najlepsze zabezpieczenie tak długiej granicy – od Morza Północnego do Morza Czarnego.

Moim jednak zdaniem nie powędrował na północ od tej rzeki (jak chce chociażby Tomáš Pešina z Čechorodu z XVII wieku czy wielu późniejszych historyków po XX wiek włącznie), **ale NA POŁUDNIE. Tu bowiem mieszkali Słowianie pomiędzy Dunajem a Górami Dynarskimi, w sąsiedztwie Republiki Weneckiej, od której**

**pochodzi druga nazwa (a raczej przeczko) tego plemienia.**

Wspominałem o tym w poprzedniej części tego tekstu. Germańskie plemię Wenedów wędrując z rejonu rzeki Boh i Bug przewędrowało między innymi przez te tereny, które potem zajęli Słowianie i założyło osadę znaną pod nazwą Wenecja. W tradycji miejscowej nazwa Wenedów przeszła na Słowian. Tyle tylko, że jako przeczko. Dla nas jednak jest to dobre przeczko, bo pozwala precyzyjnie zlokalizować Słowian Samona.

Takie postawienie sprawy pozwala również doprecyzować wcześniejsze stwierdzenia o Słowianach w tym rejonie. Cesarz Wschodniorzymski Herakliusz mógł wiedzieć o serii zwycięstw Słowian Samona. Dlatego w 634 roku wystosował do nich prośbę o osadnictwo na północnych terenach jego cesarstwa, gdzieś w rejonie dolnego Dunaju, aż po deltę tej rzeki. To teren znany później pod nazwą Serbia. Natomiast do terenów Samona należy przypisać nazwę Chorwacja.

Nasuwa się jeszcze jedno skojarzenie. Na terenie obecnej Grecji leży miejscowość Vogatsikon nad rzeką Aliakmon, niedaleko miasta Kosania (znalazłem w Atlasie Samochodowym Europy). Jej nazwa bardzo przypomina nazwę miejsca bitwy z królem Dagobertem I. Może ta bitwa odbyła się właśnie w tym miejscu?

Jest to o tyle prawdopodobne, że tereny te w VII wieku były pod panowaniem Serbów. Zatem mogłoby to oznaczać – o ile jest to prawdą i kiedyś potwierdzą inni badacze – że Dagobert wdarł się znacznie w tereny zajęte przez Słowian. Być może pokonał Słowian Samona albo

zmusił ich do wycofania się na teren przyszłej bitwy. Tam jednak zwyciężyli Słowianie i zmusili Franków do ucieczki.

Nie zapominajmy również, że granice Słowian (Państwa Serbów) w tym czasie są mocno przesunięte na południe dochodząc prawie pod Peloponez (można to zobaczyć w każdym Atlasie Historycznym pokazującym te czasy). Widocznie zwycięstwo nad Frankami pod Wogastisburgiem (gr. Vogatsikonem) spowodowało przesunięcie granic Cesarstwa Wschodniorzymskiego. Zapewne cesarstwo tocząc wojnę z Arabami nie mogło temu zapobiec. A może jakiś cesarz wschodniorzymski zaprosił Franków do unicestwienia Słowian?

Wszak Fredeger wspomina, że Słowianie od pewnego momentu stanęli u boku Awarów i dalej walczyli wspólnie z nimi. Zapewne ta bitwa przesądziła o zmianie frontu Słowian. Bo „wrogów lepiej mieć przy sobie niż przeciw sobie” – jak mówi stare przysłowie. Zrozumiał to zapewne także sam Samon. Stąd wspólne wyprawy Słowian i Awarów przeciwko Sasom, Turynom i innym.

\*\*\*

Tyle o terenach zajętych przez Awarów i Słowian. Czas powrócić do plemion tureckich. Po Awarach przywędrowała jeszcze jedna ich grupa do Europy. Tym razem byli to tak zwani Protobułgarzy. W 603 roku zajęli oni tereny położone między Morzem Czarnym, Morzem Kaspijskim, Górą Kaukaz i dolnymi biegami rzeki Doniec i rzeki Wołgi (patrz rys. nr 10). Tam mieszkali tylko do 650 roku. Od południa, wzdłuż wybrzeża Morza Kaspijskiego, zza Gór Kaukaz – nastąpił najazd Chazarów. Zapewne uciekli oni przed najaz-

dem Arabów na ich dotychczasowe siedziby, gdzieś w Państwie Perskim. Dodajmy tylko, że Chazarowie utrzymali się na nowych terenach do 965 roku, kiedy zostali pokonani przez Ruś Kijowską.

Powróćmy do Bułgarów. Po najeździe Chazarów wywędrowali oni w dwóch kierunkach. Część zamieszkała nad rzeką Kamą i Wołgą. Jest to teren, który wcześniej zajmowali najprawdopodobniej Słowianie. Pisałem o tym już w poprzednich częściach tego tekstu.

Druga grupa Bułgarów natomiast powędrowała w 679 roku n.e. nad dolny Dunaj – z siedzib nad dolną Wołgą (a może z terenów nad Wołgą i Kamą, które mogli zająć jako pierwsze w 650 roku?). Dotarli tam pod wodzą chana Asparucha. W 681 roku założyli własne państwo. Przy czym najprawdopodobniej osiedlili się na terenach zajętych przez Słowian, z którymi zasymilowali się. Razem toczyli walki z Bizancjum. Ostatecznie zajęli teren w dorzeczu dolnego Dunaju (patrz rys. nr 12), na obu jego brzegach, między górami: Karpatami i Bałkanami.

\*\*\*

Był to także czas rozwoju potęgi krajów arabskich. Wyruszyli z Medyny (na Półwyspie Arabskim) w 633 roku i zajęli Państwo Perskie do około 661 roku.

Niektóre z plemion wywędrowało wówczas do Europy. Między innymi tak było ze wspomnianymi już Chazarami. Wywędrowali oni z Mezopotamii nad Morze Kaspijskie i Morze Czarne w 650 roku i tutaj osiedlili się. Przyjęli religię judaistyczną, aby zapewne odróżnić się od Arabów i plemion europejskich.

Arabowie zajęli także do 750 roku tereny całego kaganatu

(inaczej: chaganatu) zachodniotureckiego w rejonie dorzecza Syr-darii i Amu-darii.

Arabowie wkroczyli także do Egiptu (w latach 640-645), Libii (w latach 643-44), Magrebu (dzisiejszy Tunis, Maroko i zachodnia Libia – w latach 690-709), a potem wkroczyli do Hiszpanii (w latach 711-714, będącej we władaniu jednego z plemion germańskich – Wizygotów). Dopiero klęska pod Poitiers – w 732 roku – powstrzymała ich dalszy marsz po Europie.

Chociaż nie do końca. Jeszcze w połowie IX wieku zajęli Sycylię, Korsykę i Sycylię i zagrozili państwu położonym na Półwyspie Apenińskim.

Arabowie prowadzili również łupieżcze wyprawy do Bizancjum docierając nawet do Konstantynopola – w 678 i 718 roku. Zajęli także kilka wysp na Morzu Śródziemnym: Cypr w 649 roku, Kretę w 823 roku i Rodos w 654 roku.

**PS. Jak widać Słowianie coraz lepiej zadomawiają się w Europie. Tyle tylko, że tworzą strefę buforową między Awarami i Cesarstwem Wschodniorzymskim. Jednym z takich państw są Słowianie Samona, co na pewno nie spodoba się wielu dotychczasowym badaczom tego państwa. Moim zdaniem nie ma ich jeszcze w rejonie dzisiejszych Czech, Słowacji, nad Wisłą i Odrą. Może już zasiedlili tereny nad Bohem i Bugiem, ale na to nie ma żadnych dowodów.**

**W kolejnym odcinku: Madziarzy wkraczają do Europy...**

Kraków, styczeń 2012 roku

Cdn.



# REKONSTRUKCJA SYNAGOGI STAREJ W PRZEMYŚLU – część II

Michał Tadeusz Kozera

W poprzedniej części przedstawiono Synagogę Starą w Przemyślu, którą udało się zrekonstruować ze zdjęć fotograficznych z początku XX wieku. I trochę późniejszych. Teraz przedstawimy nowe, wręcz sensacyjne informacje o jej początkach. Zatem:

**P**rowadząc analizy przedstawione w I części tekstu, zacząłem dalej zastanawiać się nad tym, czy znana ze zdjęć fotograficznych – z początku XX wieku – synagoga tak samo wyglądała w 1594 roku (z książek Jacka Błońskiego i Mojżesza Schorra wiemy, że pierwotny budynek powstał pomiędzy 1592, a 1594 rokiem)?

Wydawało się to mało prawdopodobne. Przecież minęło praktycznie pełne czterysta lat. Pewne przypuszczenia powstały już przy analizie sklepienia i sposobie wykonania *bimy*. Dlaczego części żagielków sklepiennych „nie trafiły” idealnie w okna na najwyższej kondygnacji sali głównej? Dlaczego *bima* była kwadratowa, podczas gdy rzut pomieszczenia był prostokątem? Dlaczego *bima* składała się z czterech słupów, co jest rozwiązaniem typowym dla cerkwi prawosławnych? Dlaczego rzut synagogi z przyporami jest typowy dla stylu gotyckiego w kościele rzymsko-katolickim?

Te i inne pytania można oczywiście łatwo zbyć prostym stwierdzeniem. W synagogach zastosowano różne stylowo i dekoracyjnie elementy architektoniczne – z różnych warsztatów murarskich, gdyż obiekt budowali specjaliści różnych narodowości. Stosowali przy tym metody właściwe dla swojej wiedzy i umiejętności.

Sięgnąłem wówczas do kolejnej książki. To „Krajobraz z menorą” Marii i Kazimierza Piechotków, wydaną przez Ossolineum we Wrocławiu w 2008 roku. Tam znalazłem szereg odpowiedzi. Chociaż nie na wszystkie pytania. **Całość tych analiz przedstawiłem na rysunku nr 4.**

Przede wszystkim narysowałem widok elewacji północno-wschodniej synagogi – z przed 1910 roku (rysunek oznaczony B) i z okresu pomiędzy 1910 a 1956 (rysunek oznaczony C). Potem próbowałem narysować elewację z lat 1592-94, czyli z okresu jej pierwszej budowy. Oczywiście wyeliminowałem dobudówki, bo ich na pewno wtedy nie było. Rzut synagogi sugeruje, że był to obiekt wolnostojący. Ugoda z biskupstwem przemyskim również mówi tylko o jednej budowli.

Zapewne pod koniec XVI wieku uliczka prowadząca do murów obronnych była szersza. Tym samym łatwiejszy był dostęp do murów obronnych miasta. Dla ewentualnych obrońców. W wypadku

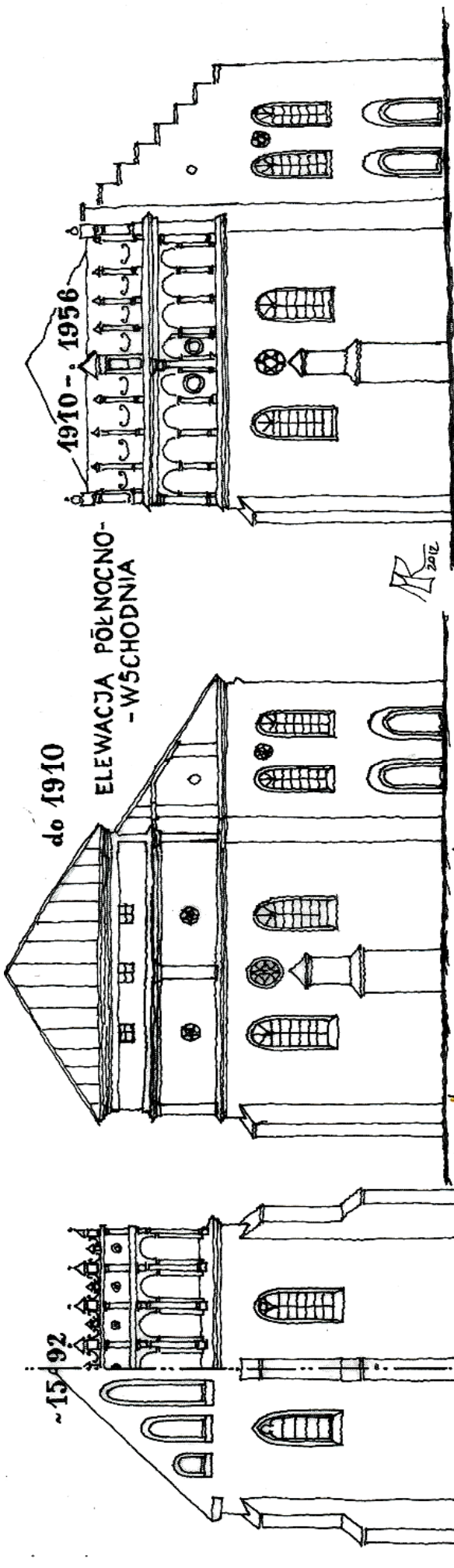
ataku obcych wojsk. Natomiast, kiedy mury utraciły swoje znaczenie już w połowie XVII wieku, to uliczkę zwężono. „Zajęty” teren przeznaczono na rozbudowę synagogi.

Przyjąłem dwie najprostsze wersje wyglądu tej elewacji synagogi – w 1594 roku. Do rekonstrukcji. Jedna jest z dachem dwuspadowym i dwoma szczytami ozdobnymi, a druga z dachem pogrążonym, osłoniętym dekoracyjną attyką (rys. 4: A1 lub A2).

Oczywiście, pierwsza z wersji odpadła na wstępie. Albowiem umowa z biskupem przemyskim mówi wyraźnie o dachu pogrążonym. Zatem pozostała druga wersja. Pozostał jedynie problem, jak ona wyglądała. Jak bardzo ta attyka była dekoracyjna.

Dlatego na rysunku A2 narysowałem najbardziej prawdopodobną wersję attyki z tego okresu. Chociaż umowa z biskupem przemyskim mówi o tym, żeby synagoga „nie była wystawna...”. Również znany czytelnikom widok Przemyśla – z 1617 lub 1618 roku (autorstwa J. Brauna z Kolonii w Niemczech) pokazuje jakieś budynki w miejscu przeznaczonym na synagogę (patrz rys. 4D). Tyle tylko, że w polu wstążki brak jest napisu z nazwą obiektu. Może na jednej powinno być *Synagogae* (pol. synagoga), a na drugiej *Aquaedomo* (pol. łaźnia). Ewentualnie mogło także być napisane *Hospitale* (pol. szpital). Na budowę tego ostatniego obiektu Żydzi uzyskali zgodę od władz miejskich w 1595 roku. Jego wygląd mógł być zbliżony do synagogi. Natomiast łaźnia była wzmiankowana już w 1538 roku. Chociaż ta ostatnia mogła być użytkowana zarówno przez Żydów i Polaków. Tyle tylko, że w różnych dniach. Rozdział korzystania z łaźni mógł również obowiązywać względem płci. W różnych dniach lub różnych godzinach. Podobnie było w Krakowie. To wszystko wskazuje, że rytownik oddał ten rysunek do druku jako niedokończony. Zapewne ktoś nie dostarczył mu wszystkich informacji. Może zmarł?

Jeżeli jednak uznamy ten narysowany obiekt za synagogę (i uznamy wiarygodność tej ryciny, co wcale nie jest takie pewne – uwaga M. K.), to pokazano tam bardzo prostą bryłę. Z równie prostym zakończeniem attyki i dachu pogrążonego. Przypo-



C

B

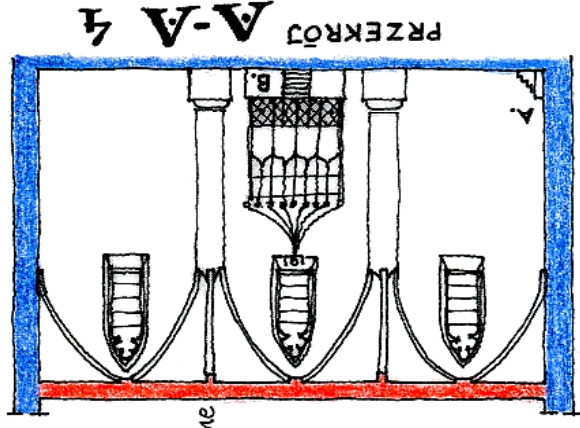
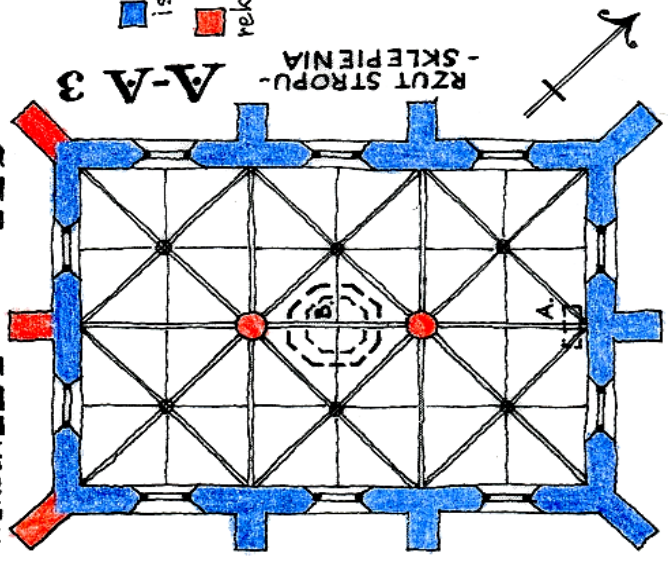
A2

A1

SYNAGOGA STARA - PRZEWSŁ.  
 REKONSTRUKCJA WG ZDJĘĆ FOTO.  
 REKONSTRUKCJA HIPOTETYCZNA  
 NAJSTARSZEJ FAZY Z XVI WIEKU

- A. ARON HA-KODESZ
- B. BIMA

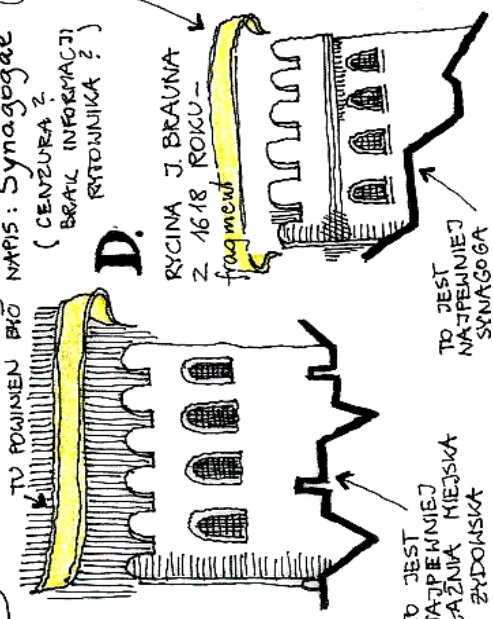
■ mury istniejące  
 ■ mury rekonstruowane



4.



16 Aggademo (Tazmia)  
 Synagogae (Synagoga)  
 (CEZURA ?  
 BRAL INFORMACJI  
 RYTOUNIKA ?)



TO JEST NAJPEWNIJ GAZNIA MIEJSKA P ZYDOWSKA

TO JEST NAJPEWNIJ SYNAGOGA



mnijmy, że nawet ratusz – tak mocno wyeksponowany na rycinie – ma pokazaną attykę dość wyidealizowaną, nie odpowiadającą rzeczywistym attykom budowanym w tamtych czasach. Także układ baszt w murach miejskich Przemyśla nie odpowiada układowi rzeczywistemu. Chociaż tu ostateczne słowo będzie należało w przyszłości do badań archeologicznych. Chociażby z Krakowa wiemy, że inaczej wyglądały umocnienia przed najazdem szwedzkim, a inaczej po odbudowie w II połowie XVII wieku.

Następnym zadaniem było zrekonstruowanie rzutu synagogi.

Wersja z *bimą* na czterech słupach dla tego okresu wydała mi się bez sensu. I rzeczywiście. W książce Marii i Kazimierza Piechotków znalazłem kilka synagog mających obrys typowo gotycki. To dawne synagogi w Strzegomiu (zamieniona obecnie na kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem św. Barbary), Oleśnicy (zamieniona obecnie na kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem św. Salwatora) czy w dawnym mieście Kazimierz (zwana Synagoga Starą – analogicznie jak w Przemyślu, chociaż to czysty przypadek).

Cechą charakterystyczną wszystkich był ich kształt i proporcje. Wszystkie miały układ prostokąta o proporcji szerokości do długości jak 2 do 3. Wszystkie mają zewnętrzne skarpy. Przy czym w narożach są one wybudowane pod kątem 45<sup>0</sup> do ścian podstawowych. Z kolei na długości ścian mają po dwie dodatkowe skarpy (w ścianie dłuższej) i jedną (w ścianie krótszej). Wszystkie dzielą elewacje (czyli ściany zewnętrzne) na równe odcinki.

Ale najważniejsza była ich cecha układu wewnętrznego.

**Wszystkie te synagogi miały wewnątrz po dwa słupy, na których wspierało się klasyczne, gotyckie sklepienie żebrowe. Było ono dziewięciopółowe, typowe dla okresu gotyckiego. Żebra te przenosiły obciążenia ze sklepienia na ściany zewnętrzne poprzez wymienione wcześniej skarpy.**

Jakoś do tej pory nikt na to proste rozwiązanie nie zwrócił uwagi!!!

Dalsza analiza architektoniczna elementów synagogi – znanych ze zdjęć fotograficznych z początku XX wieku – zaczęła układać się w prosty, wręcz banalny, układ najstarszej fazy rozwoju Synagogi Starej w Przemyślu. Wystarczyło teraz narysować tylko nowoodkryty rzut (rysunek 4.AA 3) i przekrój (rysunek 4.AA 4). Natomiast do teoretycznej rekonstrukcji *bimy* wystarczyło wykorzystać podobną, która zachowała się w Synagodze Starej, na krakowskim Kazimierzu (w innych wyposażenie nie zachowało się, bo zmieniły swoje pierwotne przeznaczenie na kościoły katolickie). Przy czym należy zastrzec, że nie znamy daty jej zamontowania w synagodze na Kazimierzu. Może być późniejsza.

\*\*\*

Przedstawmy zatem pełny opis historii rozwoju tej synagogi w Przemyślu.

W latach 1592-94 wybudowano murowaną synagogę. Stała ona na miejscu starszej, drewnianej. Została ona wybudowana na mocy przywileju nadanego Żydom przez króla Zygmunta Augusta – w 1559 roku. Zatem budowa musiała trwać przynajmniej dwa lata. Chociaż sama gmina żydowska jest znana co najmniej od lat 1402-07 (zapisy w księgach miejskich Przemyśla). Należy podejrzewać, że gminę żydowską założono na mocy przywileju Kazimierza Wielkiego z 1367 roku, wydanego Żydom na Rusi i w Małopolsce. Mogła także powstać trochę później. Po wytyczeniu nowego miasta w Przemyślu, które powstało na mocy aktu lokacyjnego z 1389 roku wydanego przez króla Władysława Jagiełłę. O ile badania archeologiczne wskażą jej ówczesną lokalizację.

Informacje o istnieniu tutaj wcześniejszej gminy żydowskiej z XI wieku, należy – moim zdaniem – włożyć między bajki. Jestem to nawet w stanie uzasadnić i udowodnić, ale dopiero po zakończeniu druku tekstów „*O epoce żelaza w Europie*” (drukowanego w odcinkach w Quod Libet).

Synagoga Stara w Przemyślu była murowana. Miała kształt prostokąta o proporcji szerokości do długości 2 do 3. Z ugody z biskupem przemyskim wynika, że po wewnętrznej stronie murów szerokość wynosiła 11,52 metra, a długość 17,28 metra. Znamy również jej wysokość. Ustalono ją na 11,52 metra, z możliwością zagłębienia w grunt na 1,73 metra (oczywiście wszystkie wymiary podaję w obecnych miarach, dla ułatwienia czytelnikom dalszych analiz).

We wnętrzu ówczesnej synagogi stały dwa filary nośne, na których wspierało się dziewięciopółowe sklepienie żebrowe. Przy czym wszystkie pola miały jednakowy kształt. Ciężar tego sklepienia był przenoszony na zewnętrzne skarpy, których w sumie było 10 (patrz rzut 4. AA 3).

*Bima* zapewne stała już wówczas w centrum (o takim ustawieniu *bimy* po raz pierwszy mówi rabin z Kazimierza, Mojżesz Isserles Remu – w swojej książce wydanej w 1578 roku).

Nie wiemy gdzie przechowywano Pięcioksiąg. Wstępnie należy przyjąć, że był on we wnętrzu, w ścianie wschodniej (w tym wypadku północno-wschodniej) – podobnie jak lokalizowano Aron Hakodesz w przyszłości. Ale nie ma na to żadnych dowodów. Może w tamtych czasach przechowywano ją w innym miejscu? Na przykład w *bimie*? Albo w specjalnym schowku pod *bimą*?

Z opisu ugody z biskupem przemyskim wynika także, że synagoga miała dach pogrążony, a od wewnątrz jakąś attykę. Ta ostatnia albo była bardzo prosta albo trochę bardziej dekoracyjna. Za pierwszą wersją przemawia fakt, że wewnątrz synagogi

zachowała się dekoracja typowa dla attyk z tamtego okresu. Zapewne nie można było wykonać jej od zewnątrz. To spowodowało jej wykonanie na ścianach wewnętrznych.

Dodajmy jeszcze, że Synagoga Stara miała okna umieszczone na znacznej wysokości nad podłogą. Zapewne dla bezpieczeństwa. Takie też narysowano na rekonstrukcji, na stosownym przekroju (patrz rysunek 4. AA ). W tym okresie montowano już w oknach cienkie szybki. Albo w kształcie kolistym (tak zwane „gomółki”), albo w kształcie sześcioboków. Oba typy były montowane w specjalnych elementach z ołowiu, a te w drewnianej ramie. Dla dodatkowego bezpieczeństwa okna musiały być zaopatrzone w okiennice. Kto je jednak otwierał i jak? Tego nie wiem.

Do synagogi musiały również prowadzić jakieś drzwi – zapewne odpowiednio solidne, umocnione i zabezpieczone przed intruzami.

Istnienie tylko jednego pomieszczenia sugeruje również, że pełniło ono kilka funkcji. Zgodnie z wiadomościami o tamtych czasach wiemy, że Żydzi mieli własną jurysdykcję (tu rozstrzygano większość spraw karnych, ale największe procesy karne pozostawały w gestii wojewody królewskiego, który także sprawował opiekę nad Żydami – w imieniu króla). Tu także spotykała się Rada Starszych (czyli *kahał* – organ ustawodawczy i wykonawczy w jednym). Tu również odbywały się zajęcia szkoły podstawowej dla dzieci płci męskiej (tak zwanej *jeshiby*). Ale najważniejszym przeznaczeniem były modlitwy. Zgodnie z Żydowskim rytuałem. Przy czym wstęp mieli tylko mężczyźni i młodzież męska od 13 roku życia (po odbyciu *bar micwa*, czyli uroczystości przypominającej Pierwszą Komunię Świętą w kościele rzymskokatolickim – przyp. M. K.).

Ta synagoga przetrwała na pewno do połowy XVII wieku. Chociaż pożar w 1637 roku (według innych autorów w 1638 roku) mógł jej zaszkodzić. Ale w dokumentach z tamtych czasów nie ma żadnych informacji o zniszczeniu synagogi (są tylko dane o zniszczonych domach, głównie drewnianych). Zapewne dach pogrążony uratował ją przed większymi stratami. Może pomocny był fakt, że była obiektem wolnostojącym?

Na pewno jednak synagoga uległa zniszczeniu podczas najazdu Szwedów, którzy byli w Przemyślu w 1656 roku. Nie znamy rzeczywistych strat. Wiemy natomiast na pewno, że Żydów nie lubili. Przykładowo. W krakowskim Kazimierzu Miasto Żydowskie praktycznie zrównano z ziemią (ocalało tylko kilka budynków – co potwierdzają zachowane dokumenty pisane). A osada żydowska w Przemyślu była dużo, dużo mniejsza.

Pamiętajmy również, że mniej więcej w tym samym czasie na Przemyśl najechał książę sied-

miogrodzki Jerzy Rakoczy – w 1657 roku. Dokończył on sporo zniszczeń. Z kolei Kozacy – pod wodzą Bohdana Chmielnickiego – nie dotarli wprawdzie do Przemyśla, ale ich działania na terenie Ukrainy doprowadziły do masowej migracji Żydów z tamtych terenów. Część mogła przywędrować do Przemyśla, chociaż raczej uciekali dalej – na zachód Rzeczypospolitej Polskiej.

Należy zatem sądzić – chociaż nie ma pisanych dokumentów – że synagoga przemyska uległa znacznemu zniszczeniu. Pomocne w tej kwestii byłyby badania architektoniczne, ale obecnie nie ma na czym ich przeprowadzić.

Odbudowa synagogi musiała nastąpić zapewne już pod koniec XVII wieku (za panowania króla Jana III Sobieskiego – panującego w latach 1674-96) albo dopiero w XVIII wieku. Przy czym stało się to najprawdopodobniej w dwóch etapach.

Przy czym w jakimś zakresie odbudowano samą synagogę. Nie znamy jednak zakresu tych prac. Nie wiemy co pozostawiono ze starych murów, a co wykonano od nowa.

**Najpierw dobudowano zabudowania po południowo-zachodniej stronie pierwotnego budynku.** Na parterze powstał przedsionek, który pełnił – poza wejściem do właściwej synagogi – funkcję sądowniczą. Tu mógł także rezydować *kahał* (czyli Rada Żydowska). Tu także mogła być szkoła podstawowa, żydowska (tak zwana *jeshiba*). O ile zajęcia szkolne nie odbywały się w głównej sali synagogi, o czym pisałem wcześniej. Pamiętajmy, że wówczas synagogi były wielofunkcyjne. Ewentualnie funkcje sądownicze i prawne zapewniało również pomieszczenie na piętrze. Zatem małe pomieszczenie przy elewacji południowo-zachodniej mogło pełnić rolę klatki schodowej. Inne małe pomieszczenie mogło natomiast pełnić rolę doraźnego więzienia – dla jednej lub dla kilku osób. O ile nie były to sanitariaty. Przed synagogą – jak podaje Jacek Błoński – był dodatkowo ustawiony pręgierz. Przy nim wykonywano karę chłosty – za mniejsze przewinienia.

**W kolejnym etapie rozbudowano synagogę w kierunku północno-zachodnim.**

Było to konieczne ze względu na wzrost liczby mieszkańców w dzielnicy żydowskiej. Na dodatek należy pamiętać o dopuszczeniu kobiet do modlitw w synagogach. Nie wiem tylko kiedy. Moim zdaniem stało się to najprawdopodobniej gdzieś po połowie XVII wieku (dotychczasowe badania historyków żydowskich – z początku XX wieku – należy poddać totalnej weryfikacji. Sugerowali oni bowiem udział kobiet w modłach w synagodze już w I połowie XVII wieku. Jednak ta koncepcja nie wytrzymuje próby czasu – uwagi M. K.). Pojawienie się kobiet w synagogach na pewno należy powiązać z tumultami antyżydowskimi w połowie XVII wieku (powstanie Bohdana Chmielnickiego



w 1648, najazd Szwedów w 1656 roku czy najazd księcia Jerzego Rakoczego w 1657 roku). Dały one asumpt do zmiany podejścia do kobiet. Podobne historie mamy z różnymi narodowościami w czasach nam współczesnych (jak chociażby udział Murzynów w II wojnie światowej i wojnie w Wietnamie, a potem zmiana ich statusu w Stanach Zjednoczonych Ameryki).

Ten drugi etap rozbudowy spowodował zapewne również jakieś zmiany w dobudówce opisanej wcześniej – po południowo-zachodniej stronie synagogi właściwej.

W tym etapie wykonano w synagodze właściwej nowe sklepienie wsparte na czterech słupach. Tym sklepieniem była kolebka z żaglami. Przy czym nadano mu bardzo dekoracyjną formę – typową dla rozwiniętego baroku. Podobne sklepienie – chociaż w mniejszej skali – uzyskała w tym samym czasie „mała synagoga” (o ile ta funkcja modlitewna tej części nie pojawiła się później – na przykład w XIX wieku). Znajdowała się na parterze dobudowywanej części – od strony północno-zachodniej.

Tym sposobem wokół starej synagogi powstał gdzieś na przełomie XVII i XVIII wieku cały szereg pomieszczeń o różnych funkcjach. Na parterze były to najczęściej pomieszczenia dla mężczyzn, w tym szkoła dla dzieci żydowskich. Natomiast na piętrze była sala dla kobiet i pomieszczenia *kahału* (to te które nie mają okien skierowanych do synagogi – czyli od strony północno-zachodniej). Drugie piętro natomiast to były tylko pomieszczenia dla kobiet i zapewne dla dzieci do 13 roku życia.

Sklepienia w głównej sali zostały dodatkowo ozdobione malowidłami, ale to stało się dopiero w 1840 roku (podaję za Jackiem Błońskim. Przy czym stylistyka malowideł potwierdza to stwierdzenie, znane najprawdopodobniej z pisanych źródeł historycznych).

Koniec XIX wieku mógł przynieść jakieś zmiany, ale są one praktycznie nie uchwytnie. Na pewno wykonano tylko nową bramę od strony Placu Rybiego. O typowej, eklektycznej stylistyce. Miała ona centralnie podwójne drzwi wjazdowe i po bokach dwoje drzwi dla pieszych. Same skrzydła ruchome są wykonane jako elementy kute, kowalskiej roboty. W tym samym stylu. Cała brama jest doskonale znana z fotografii z początku XX wieku. Dlatego jej nie pokazuję na rysunkach.

W takim kształcie zabudowania przetrwały do 1910 roku. Wówczas arch. Tadeusz Mokłowski przeprowadził rewaloryzację całego kompleksu zabudowań. Na pewno zaprojektował nowe attyki wokół najstarszej części oraz przebudował szczyty innych budynków (patrz rys. 4C). Wymieniono również okna w tym okresie nadając im bardziej żydowski charakter (chociażby w ścianie z *Aron ha – Kodesz* wstawiono okno z gwiazdą Dawida, gdzie wcześniej był inny układ szprosów okiennych (drewnianych listew dzielących okna na mniejsze części – przyp. M. K.).

W takim kształcie synagoga przetrwała do 1941 roku. W tym czasie pół miasta było pod okupacją niemiecką, a pół pod okupacją radziecką. Atak wojsk niemieckich na Związek Radziecki nastąpił głównie na linii średniowiecznego miasta. Synagogi (w tym Stara i Tempel) – czy inne zabudowania mieszkalne (kamienice i budynki usługowe na placu za miastem) – w tej części praktycznie przestały istnieć. Nie zapominajmy również, że Niemcy byli wychowywani w nienawiści do Żydów już od początku panowania kanclerza Hitlera. Takie zniszczenia były im bardzo na rękę. Chociaż trzeba dodać, że kilka synagog z przełomu XIX i XX wieku dotrwało do naszych czasów. Stały w innych, mniej dominujących miejscach.

Ostatecznie ruiny kompleksu Synagogi Starej rozebrano w 1956 roku. Ówczesne władze miejskie kazały teren wybrukować przeznaczając go na plac defilad ku czci zwycięskiej Armii Czerwonej (która zajęła Przemyśl w 1944 roku). Tu także odbywały się inne imprezy okolicznościowe związane z ruchem lewicowym w Polsce Ludowej.

Wśród „zwykłych” mieszkańców plac nie cieszył się najlepszą opinią. Był przezywany „placem czerwonym”. Ale to już zupełnie inna historia.

Na tym kończymy dzieje najstarszej synagogi w Przemyślu. Nie można ich ani potwierdzić ani im zaprzeczyć. Bo budynku już – niestety – nie ma. Mam jednak nadzieję, że jakieś fundamenty zachowały się podczas rozbiórki w 1956 roku? Najcenniejsze byłoby odnalezienie fundamentów dwóch pierwotnych słupów budowli z XVI wieku. O ile oczywiście nie zostały zniszczone podczas przebudowy na układ cztero filarowy.

Czy będzie mi dane to zobaczyć jeszcze za mojego życia?

Kraków, luty 2012 roku

#### SPROSTOWANIE

W numerze 78 QL – w tekście „*Odwach*” – napisałem, że pierwsze lampy uliczne w Przemyślu były gazowe (do 1895 roku). Wzorowałem się na analogicznych lampach z Krakowa.

Pierwsze lampy uliczne w Przemyślu były na naftę. Informację tę znalazłem w interesującej książce Juliana Kurka „*Wędrowki po ulicach i placach Przemyśla, XIX-XX wiek*”, wydanej w Przemyślu w 2006 roku. To wyjaśnia stosunkowo niewielką ich wysokość i mały zasięg światła.

Michał Kozera

# HISTORIA „BRONZOWEGO KRZYŻA ZASŁUGI”

Michał Tadeusz Kozera

**Wszystko zaczęło się bardzo, bardzo dawno temu - jak powiedziałyby dzisiaj młodzież. Choć to było tylko kilka chwil temu. Przypadkowe odkrycie zapoczątkowało szereg zdarzeń, które dopiero dzisiaj doczekały się szczęśliwego finału. A oto: – Historia..**

Gdzieś w latach siedemdziesiątych XX wieku porządkowałem strych u mojego dziadka – Aleksandra. Nagromadziło się tam przez dłuższy okres czasu sporo różnego rodzaju „śmieci”. Jak to w wiejskiej chałupie. W myśl starego hasła-przysłowia: „wszystko się kiedyś przyda”.

Byłem już licealistą i zasadniczo rozróżniałem rzeczy ciekawe od zwykłych szpargałów. Dlatego zwykłe rzeczy znosiłem na dół do decyzji dziadka. Zwykle kończyły one swój żywot jako podpałka do pieca kaflowego. Natomiast interesujące materiały odkładałem.

Nie będę tu przynudzał o wszystkich interesujących „znaleziskach”. Wówczas była to klasyczna zabawa w poszukiwanie skarbów. A przy okazji robiłem dziadkowi porządek na strychu. Wszak część „śmieci” mogło być zagrożeniem z powodów pożarowych.

Najciekawsze były zasadniczo dwie rzeczy. Pierwsza to był plik papierowych, carskich rubli – bodajże z 1906 roku. Znaleździłem dość zdumiewające, bo dom powstał dopiero w latach trzydziestych XX wieku. Dziadek też był zdziwiony. Podejrzał, że zostawili go jacyś uchodźcy. W czasie II wojny światowej zaw sze schronienie mogli znaleźć u niego ludzie uciekający przed którymś z okupantów (mam na myśli nie tylko Niemców). Mieszkali zwykle na parterze, w jednej z izb. Chociaż na strychu też ktoś podobno ukrywał się. Pamiętam stosowną skrytkę z desek.

Wtedy najprawdopodobniej ukryto także te ruble. Nie miały żadnej wartości. Chyba, że jako zabawka dla dorastającej młodzieży. Dodajmy, że myszy zdążyły je już przegryźć na dwie części. Zwykle w połowie. Może sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby były ze złota lub srebra? Tak jednak się nie stało.

Druga rzecz znaleziona na strychu okazała się dla mnie dużo ciekawsza. Znalazłem pismo zawinięte w specjalną rurę tekturową. Po rozwinięciu ukazał się następujący napis:

*Do Pana Aleksandra Kozery, Rolnika w Chwalibogowicach powiatu pińczowskiego Na zasadzie art. 5 ustawy z 28 czerwca 1923 r. (Dz. U. R. P. Nr 62, poz. 458) nadaję Panu po raz pierwszy **BRONZOWY***

***KRZYŻ ZASŁUGI** za przyczynienie się do wybudowania pomnika Zwycięstwa pod Czarkowami przez ofiarowanie bezinteresownie gruntu pod budowę pomnika.*

*Warszawa, dnia 9 listopada 1931 roku, Prezes Rady Ministrów*

*(podpis nieczytelny obok wytłoczona okrągła pieczęć z orłem).*

Oczywiście najbardziej rozbawił mnie zapis słowa brązowy, jako „bronzowy”. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to typowy „rusycyzm” (w języku rosyjskim nie ma litery „q” i dlatego zastępowano ją zbitkiem liter „on” – przyp. M. K.). Widocznie niektórzy urzędnicy tkwili jeszcze w epoce zaboru rosyjskiego (do którego niewątpliwie Warszawa przed 1914 rokiem należała).

Pochwaliłem się oczywiście dziadkowi znaleziskiem i zapytałem o szczegóły. Dodajmy, że byłem także zainteresowany samym krzyżem, bo wówczas miałbym kompletny zestaw: odznaczenie + dyplom.

Po pierwsze dziadek zdziwił się, że ten dyplom zachował się. Powiedział także, że sam krzyż wyrzucił, bo zaraz po II wojnie światowej miał przez to odznaczenie sporo nieprzyjemności. Urząd Bezpieczeństwa pilnie poszukiwał tej „blaszki”. Gdyby znalazł, to dziadkowi groziło rozstrzelanie „za współpracę z kapitalistami i popieranie piłsudczyków”. A może rozstrzelanie pod byle jakim, innym pretekstem?

Wtedy ludzie umierali za drobniejsze przewinienia. Wszak już dziadkowi przyklejono etykietkę „kułaka”, czyli mówiąc z rosyjska tak zwanego „bogatego chłopca”. Bo przecież socjalizm zakładał, że wszyscy są równi i nie może być ludzi bogatszych. Dzisiaj podejrzewam jednak, że ówczesny Związek Radziecki przyjął w rzeczywistości inną ideologię. Pod szczytnymi hasłami „równości” dążył do wyeliminowania elity we wszystkich podbitych przez niego narodach. I to zarówno wśród inteligencji jak chłopów (robotnicy dopiero powstawali jako większa siła). Stąd wcześniej (w 1940 roku) nastąpiło wymordowanie elity polskiego wojska, potem wymordowanie części inteligencji – z wywiezieniem rodzin na Sybir. Chłopstwo zostawio-



no sobie na okres powojenny. Musiano przecież jakoś pozyskać żywność dla siebie, a tego nie gwarantowali biedni rolnicy. Stąd stałe rekwizycje itp. Skrajnym przykładem takiego działania było wymordowanie czwartej części narodu Kambodży. Być może w Polsce stałoby się tak samo, ale myśmy mieli jednak silną partyzantkę, która jeszcze po wojnie „trzymała rękę na pulsie”.

Dziadek pozwolił mi dyplom zabrać. Jednakże zastrzegł, aby nikomu o tym nie mówić. Wciąż panował strach na wsiach po tym, co robiono z „niepokornymi” na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX wieku, w okresie tak zwanego stalinizmu. I mimo, że zagrożenie minęło, to strach pozostał.

\*\*\*

Do tematu wróciłem dopiero niedawno. I to przez czysty przypadek. Wśród zdjęć w domowym archiwum znalazłem takie, które pokazywało jakiś pomnik. Okazało się, że chodzi o pomnik wspomniany w dyplomie nadania brązowego krzyża zasługi dla Aleksandra Kozery.

Opiszmy zatem ten pomnik. Jest to słup o przekroju kwadratowym o znacznej wysokości. Na jego szczycie siedzi orzeł szykujący się do lotu, w koronie na głowie. Na słupie są napisy wykonane czcionką typową dla lat trzydziestych XX wieku. Nazwijmy ją modernistyczną. Zdjęcie pokazuje tylko dwie strony tych napisów – od frontu i z prawej strony. A oto odczytana treść:

**Napis na frotowej części słupa:** KU CHWALE PIERWSZYCH BOJÓW JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI (dalej jest wzór dekoracyjny z jakimś znaczkiem mało czytelnym – może orzełkiem legionowym lub innym oznaczeniem? – niższe partie słupa przesłaniają krzewy).

**Napis na bocznej części słupa:** W TEM MIEJSCU POLEGŁ W ZWYCIĘSKIEJ WALCE BOHATERSKI PLUTON MŁOTA (potem trzy wiersze zasłonięte liśćmi krzewu).

W czwartym wierszu widać cyfry 23, a w piątym wierszu najprawdopodobniej cyfry 19).

Nie znam napisu na drugiej bocznej ścianie słupa. Nie znam ewentualnego napisu na tylnej stronie słupa.

\*\*\*

Postanowiłem rozszerzyć swoją wiedzę na ten temat. Sięgnąłem do literatury historycznej.

Po pierwsze przyjrzałem się jeszcze raz dyplomowi. Ustaliłem, że Prezesem Rady Ministrów (czyli Premierem) był Aleksander Prystor, który sprawował ten urząd w okresie od 27 maja 1931 do 9 maja 1933 roku. Dodajmy także, że był on typowym „piłsudczykiem” z tamtych czasów. Urodził się w 1874 roku na Wileńszczyźnie, a zmarł w 1943 roku. Analiza podpisu potwierdziła, że to jego podpis figuruje na tym dyplomie dziadka.

W pierwszym momencie miałem problemy z rozszyfrowaniem słowa Młot w napisie na słupie. Domy-

śliłem się, że musi to być nazwisko lub pseudonim. Sięgnąłem zatem do ostatnio wydanej książki: autor zbiorowy, „*Legenda Legionów, opowieść o Legionach oraz ludziach Józefa Piłsudskiego*”, wydanej przez DEMART S. A.

Autorzy nie ułatwili mi pracy. W książce nie ma indeksu osobowego. Zatem poszukiwanie informacji wymagało przewertowania całości. Dodajmy, że książka liczy 520 stron.

W końcu na jednej ze stron znalazłem zdjęcie (nie mogę go przedstawić, bo publikowanie tego typu rzeczy wymaga zgody autorów książki). Podpis brzmiał:

„*Zygmunt Przepałkowski „Młot” (1893-1940), członek Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego, sekcyjny Pierwszej Kompanii Kadrowej, później w kawalerii „Beliny”, wachmistrz 1 pułku ułanów. Zamordowany*” (...).

Wiedziałem, że jest to ten człowiek, który jest wymieniony w napisie na słupie. Zdziwił mnie tylko brak zakończenia tego podpisu pod zdjęciem. Nie okazało się to jednak jakimś dużym problemem. Data wskazywała dość jednoznacznie. Istotnie. Odnalazłem go na „liście katyńskiej”. Przebywał w obozie w Kozielsku, a leży pochowany w Katyniu. Zatem został zamordowany przez radzieckie służby specjalne – znane jako N. K. W. D. – w 1940 roku. Przed samą śmiercią był rotmistrzem i służył w 7 pułku ułanów.

Na innej stronie znalazłem informację o bitwie pod Czarkowami. W książce zapisano błędnie: *pod Czarkowym, Ksanami i Chwalibogami, 23 IX 1914 r.* Powinno być: *pod Czarkowami, Ksanami i Chwalibogowicami, 23 IX 1914 r.* Jest to tym dziwniejsze, że na mapie sztabowej figurują poprawne nazwy tych wsi, gdzie stoczono wspomniany tu bój.

Te informacje – mimo oczywistych błędów autorów książki – pozwoliły mi spróbować zrekonstruować część brakującego napisu na bocznej ścianie słupa.

Najpierw rzecz oczywista. W czwartym wierszu na pewno było zapisane: 23 IX, a w piątym 1914 (R.?). Była to bowiem data wspomnianej bitwy pod Czarkowami. Natomiast trzy wiersze wyżej były najprawdopodobniej wypełnione nazwiskiem człowieka o przezwisku „Młot”. Jeżeli zatem przymierzmy nazwisko tego ułana to mogło ono być zapisane (znając ilość liter w innych liniach tekstu na obu stronach słupa): PRZEPAŁKOWSKEEGO. Przy czym obecność tylko czterech liter w pierwszym wierszu może sugerować, że podano tu przynajmniej pierwszą literę imienia czyli „Z”, co z przerwą na kropkę za nią dawało także sześć znaków.

Zatem brakująca część napisu powinna brzmieć – moim zdaniem: Z. PRZEPAŁKOWSKIEGO 23 IX 1914 (R.?).

Spróbowałem również ustalić wymiary samego pomnika. Z analiz matematycznych – którymi już nie będę przynudzał czytelników – wyszło, że słup (wraz z orłem legionowym) miał wysokości około 450 cm, a przekrój słupa wynosił około 60 na 60 cm.



\*\*\*

Tyle faktów. Pozostaje jeszcze część na wpeł legendarna. Starsi ode mnie członkowie rodziny i opowieści zasłyszane wcześniej od rodziny pozwoliły mi połączyć szereg faktów w jedną – w miarę logiczną – całość.

W dniu 23 września 1914 roku oddziały Legionów stoczyły bitwę pod Czarkowami z wojskami rosyjskimi (Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich powstał dopiero pod koniec 1917 roku) – w ramach działań I wojny światowej. Po stronie rosyjskiej działania prowadzili Kozacy, a po stronie „polskiej” (Rzeczpospolita Polska powstała w 1918 roku) piechota i ułani. W wyniku działań zginął pluton ułanów Zygmunta Przepałkowskiego (w czasie bitwy miał 21 lat). Nosił on wówczas pseudonim „Młot”.

*Inni żołnierze legionów także używali pseudonimów. Chodziło o ewentualne bezpieczeństwo rodzin, w wypadku gdyby przemarsz Legionów zakończył się klęską. Pamiętajmy, że był to czas, kiedy Polska próbowała odzyskać niepodległość po*

*ponad 120 latach. Ewentualna przegrana mogła oznaczać powrót do czasów sprzed I wojny światowej. Jeszcze bowiem nie zapowiadało się powstanie nowego, „robotniczego” państwa na wschodzie.*

O tej bitwie zachowała się w rodzinie jeszcze jedna opowieść. Moja babka Ewa podobno opiekowała się





jednym, rannym żołnierzem. Był on jednak ciężko ranny i po kilku dniach zmarł.

W 1931 roku zapewne zapadła w Warszawie decyzja o budowie pomnika Zwycięstwa. Poszukiwano w tym celu gruntu pod to przedsięwzięcie. Taki grunt w Czarkowach udostępnił Aleksander Kozera, za co został uhonorowany Brązowym Krzyżem Zasługi. Pomnik najprawdopodobniej wykonano i zamontowano w 1932 roku. Niestety, nie znam autora. Ale należy podejrzewać, że był to znany artysta rzeźbiarz. Świadczy o tym kształt całości, układ napisów i sposób ich wykonania oraz sposób wykonania rzeźby na szczycie. Zapewne jego sygnatura była na rzeźbie, ale nie udało się jej odczytać na zachowanych na zdjęciu ścianach.

Osobiście podejrzewam, że takich pomników powstało w tamtym czasie więcej. W miejscach różnych bitew z tego okresu. Podobnie postępowali Austriacy budując swoje pomniki na obecnie naszych ziemiach. Tu jednak są konieczne ogromne badania archiwalne. O ile dokumentów nie zniszczono po II wojnie światowej, w ramach walki z „piłsudskowszczyzną”.

Pomnik przetrwał do 1945 roku, gdzieś do stycznia. Podczas ofensywy wojsk radzieckich został wysadzony w powietrze. Podobno kilka lat temu pomnik odbudowano. Niestety nie widziałem go jeszcze. Spróbuję tam dotrzeć latem tego roku. Ciekawe czy dokładnie odpowiada mojemu opisowi, przedstawionemu w tym tekście?

Kraków, styczeń 2012 roku

### Post scriptum.

Po napisaniu tego tekstu postanowiłem zajrzeć jeszcze raz do książki: „Legenda legionów...”

Tym razem dotarłem do rozdziału poświęconego pomnikom wybudowanym ku czci legionistów. Między innymi znalazłem „mój” pomnik z dokładnym opisem:

*Wielką uroczystością patriotyczną z udziałem Prezydenta R. P. i generalicji była ekshumacja 22 września 1928 roku szczątków jednego z żołnierzy – legionistów poległych podczas walk nad Nidą w 1914 roku. Odbyła się ona pod Czarkowym, skąd ze wspólnej mogiły legionistów przeniesiono prochy do specjalnej krypty pod nowy pomnik zwycięstwa. Pomnik ten miał upamiętniać nie tylko pierwsze bitwy legionów Polskich, ale również nieznanego żołnierza Legionów. Autorem wspólnego monumentu był legionista – rzeźbiarz Konstanty Laszczka z Krakowa. Pomnik był podobny do wielu postawionych na kresach z okazji rocznicy niepodległości. Na wysokim strzelistym cokole z białego piaskowca postawiono olbrzymiego orła z brązu, ze skrzydłami wzniesionymi*

*do lotu. Umieszczono też pamiątkowe napisy z czterech stron pomnika: „Ku chwale pierwszych bojów Józefa Piłsudskiego o niepodległość Polski”, W tem miejscu poległ w zwycięskiej walce bohaterski pluton Młota Fijałkowskiego 23 września oraz zaznaczono miejsca pierwszych bitew legionowych „Kielce-Nowy Korczyn-Ostrowiec-Szczytniki-Czarkowy-Opatowce, 6 VIII 1914-25 IX 1914”, „Powiat pinczowski (a może pińczowski? – uwaga M. K.) bohaterskim bojownikom o wolność Ojczyzny, 23 IX 1928 r.”*

*Rok później z okazji 15 lecia bitwy pod Czarkowymi oraz Święta Ziemi Pińczowskiej na mogiłę nieznanego legionisty umieszczono płytę z napisem: „Tu spoczywa nieznaną legionista poległy pod Czarkowymi dnia 23 września 1914 r.” Jeszcze później (w 1937 roku) obok pomnika złożono nowe prochy żołnierzy legionistów z cmentarza i mogił w Busku, Jurkowie, Pińczowie, Skowronie Górnym, Starym Korczynie, Stopnicy. Pomnik wystawiony przez społeczeństwo ziemi pińczowskiej nie przetrwał w latach powojennych. W 1945 roku został zburzony jako „burżuazyjny”, a po latach na postumencie postawiono krzyż. Jest także na zdjęciu pokazana rekonstrukcja tego pomnika. Tu dodatkowa informacja, że został: „odbudowany w 1992 roku”.*

I tak oto stanąłem przed nową zagadką. Skoro pomnik odsłonięto w 1928 roku, to po co dziadkowi dano odznaczenie w trzy lata później?!!!

Jedyne logiczne wyjaśnienie jest takie, że pomnika nie postawiono na ziemi dziadka. Chyba, że zajęto jego grunt bez pytania właściciela o zgodę (sic!!!). Możliwe jest także, że grunt przekazany przez dziadka dotyczył dalszej informacji – z 1937 roku. Potrzebne było dodatkowe miejsce na groby kolejnych legionistów. Byłaby to zatem właśnie ta ziemia, przekazana przez dziadka w 1931 roku. A może dziadka uhonorowano dopiero w kilka lat po przekazaniu gruntu? Może ktoś zna odpowiedź? Prosimy o informacje do red. „Quod Libet”.

Z tekstu książki wynika jeszcze jedna ważna informacja. Wspomniany tu pluton „Młota” był częścią oddziału konnego pod dowództwem Władysława Prażmowskiego ps. „Belina”.

**Pozostaje jeszcze jedna zagadka. Dlaczego Zygmunt Przepałkowski ps. „Młot” został na pomniku nazwany Fijałkowskim? Dlaczego przekreślono nazwę miasta Opatowiec na Opatowce?**

**Czekam na informacje od czytelników.**

Kraków, styczeń 2012 roku

Emil Palej

## NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd

**G**dy dotar-

łem do Nozdrzca, okazało się, że żona już wszystko wiedziała. Dano jej znać, że zabrał mnie ze sobą Niemiec, którego rozbrojono i na pewno mnie zamknęli. Była bardzo zdenerwowana i całą noc nie spała. W tym samym dniu wrócił Hawliczek i na trzeci dzień tą samą drogą odjechaliśmy do Jaworowa w celu dalszego kontynuowania naszej pracy. We Lwowie przesiadaliśmy się na pociąg do Jaworowa. Za Jaworowem same lasy, aż do Starzysk. W pociągu na Jaworów jechaliśmy w przedostatnim wagonie (pociąg miał siedem wagonów).

Koło Wereszycy nastąpił straszny wybuch i mocny wstrząs oraz silne podrzucanie wagonem – do tego stopnia, że wszyscy popadaliśmy na podłogę lub na drugą ławkę naprzeciwko. Pociąg stanął. W drugiej połowie wagonu, z napisem „Nur für Deutsche”, znajdowało się kilku żołnierzy Wehrmachtu (sami starzy), którzy ze strachu nie wiedzieli co robić; chwycili za swoje karabiny i zaczęli wychodzić z wagonu. Od razu z Hawliczkim zorientowaliśmy się, że to dywersja. Ale czyja? Wyszliśmy i oto co zobaczyliśmy: na samym zakręcie z nasypu zjechała lokomotywa i tender, które są przewrócone na prawy bok, jak również i wagon pocztowy; dwa wagony zjechały z nasypu, lecz są pochylone do połowy, a reszta w połowie na podkładach. Koło lokomotywy stoi maszynista i palacz, trochę potłuczeni i rozmawiają po polsku. Pasażerowie to przeważnie kobiety wiejskie z tobołami. Zauważy-

łem, że Niemcy z bronią w rękę w tyralierze poszli lasem. Kobiety zaczęły uciekać. Nie wiemy, co mamy robić: czy iść za Niemcami, czy razem z kobietami? Jeżeli napadnie partyzantka sowiecka, to postrzelają Niemców i my też możemy od pocisków zginąć; jeżeli to partyzantka polska – to to samo. Natomiast jakby tu byli gdzieś Ukraińcy, to bezpieczniej iść z Niemcami.

W końcu postanowiliśmy iść opodal kobiet, lecz schowaliśmy swoje dokumenty do skarpetek, przywiązując tasiemkami kaleson. Jakby nas napadli Ukraińcy, którzy nas nie znają, to powiemy, że jesteśmy Ukraińcy, a dokumentów chyba nie znajdą; jeżeli nas poznają, to koniec z nami. Tak szliśmy około ośmiu kilometrów. Z chwilą, kiedy już las kończył się, odetchnęliśmy z ulgą, zupełnie mokrzy od potu. Zaraz za lasem, jeszcze w małych krzakach, zauważyliśmy bardzo dużo czotgów niemieckich zamaskowanych, przy których Niemcy coś robili i jak się później zorientowaliśmy – to jakiś pułk czotgów, które na postoju naprawiają.

Koło jakiejś gospodarki chłopa ukraińskiego pod lasem siedziały już kobiety z tobołami z tego pociągu oraz trochę żołnierzy z tej jednostki, którzy rozmawiali z Niemcami z katastrofy. Za jakie pół godziny przyjechał ciężarowy samochód niemiecki, zabrał Niemców, tych z katastrofy i kilkanaście osób cywilnych, i nam się też udało wsiąść.

Po przyjeździe do Jaworowa (to jest około 10 km) zauważyłem bardzo dużo wojska niemieckiego. Dowiedziałem się, że dużo Polaków przybyło z wiosek mieszanych, jak: Mużyłowice, Bruchnal, Czernilawa, Porudno, Porudenko. W tych wioskach nie było polskiej organizacji podziemnej, a to z powodu tego, że w tych wioskach Polacy byli w znikomej ilości, tj. do 10%. Natomiast w Przyłbicach, w Mołoszkowicach to 100% Ukraińców i tam właśnie znajdowała się baza UPA. Cały Jaworów ogarnęła jakaś panika wśród miejscowych Polaków oraz niektórych



Ukraińców nie nacjonalistów.

W Jaworowie dwie duże podstawowe szkoły polskie oraz seminarium pedagogiczne żeńskie zostały zajęte na szpitale wojskowe dla rannych Niemców, których przewożono ze Lwowa z powodu braku tam miejsca. Niemal każdej nocy widzi się tyny naokoło Jaworowa. To UPA pali zabudowania pozostawione przez Polaków. Zdarzają się jeszcze wypadki mordowania pojedynczych Polaków, którzy nie zdążyli wyjechać bądź nie usłuchali poleceń wyjazdu do Jaworowa względnie do Krakowca lub Wielkich Oczy, skąd już blisko do Radymna. Nie ma dnia, ażeby kilkanaście rodzin polskich nie wyjechało za San przy eskorcie Niemców, za którą to eskortę płacono byłem. Powyjeżdżali Polacy z samego miasta Jaworów – przeważnie inteligencja. Wyjechał dr Fedorowski do Lwowa, Edward Szpilka, Butent, ks. Bolesław Hołub (który nam dużo pomógł w czasie wspan).

Koniec maja lub początek czerwca 1944 r. – wyjeżdża z Jaworowa kilkanaście rodzin polskich, jest to bodajże największy transport za San z silną eskortą niemiecką. Na pierwszym samochodzie kilku Niemców z bronią oraz ckm sprzężony, tj. cztery lufy; w środku dwa samochody z ludźmi i tobołami, i dwie przyczepy; za przyczepami było rogatę powiązane i prowadzone luzem; czwarty samochód z Niemcami – również ckm o czterech lufach. W lesie 6–7 km od Krakowca banderowcy ostrzelali środek, tj. dwa samochody z przyczepami i prowadzone było. Niemcy zatrzymali się, skierowali ckm na las, skąd padły strzały. Reszta Niemców zeskokczyła z samochodów i otworzyła ogień z automatów w las. Po krótkiej strzelaninie banderowcy widocznie uciekli, zabijając dwie sztuki bydła oraz raniąc w rękę pędzącego bydła Polaka. W tym samym dniu dowiedziałem się o tym od rolnika ukraińskiego, który przyjechał furmanką do apteki w Jaworowie (znał mnie wcześniej). W tym czasie ostatni raz wysłałem kurierkę Elę do Lwowa z meldunkiem, po-

dając dokładnie o wyjeździe Polaków i mniej więcej ilu ich jeszcze zostało w centrum Jaworowa, i co mam robić dalej – czy mogę już wyjechać za San do rodziny. W tym samym dniu wieczorem wróciła ze Lwowa, przywożąc krótką pocztę dla mnie. Niezależnie od tego otrzymała ustne polecenie i wiadomości o sytuacji na froncie wschodnim i zachodnim. Należy się liczyć z tym, że Niemcy w krótkim czasie zostaną pobici i przepędzeni z Polski.

Dostałem informację, że obwód jaworowski został już zlikwidowany. Mam się dostać do Rodatycz razem z kurierką Elą i tam się zgłosić u podporucznika rezerwy Jana Gwiazdowskiego, skąd zostaną skierowani w inne miejsce. O ile możliwe – zabrać resztę ludzi, którzy są w Jaworowie i zgodzą się przejść do innego powiatu razem ze mną. Resztę mi Ela ustnie powiedziała. Prócz tego dowództwo będzie już w Gródku Jagiellońskim i tam będę już wszystką pocztę kierował, o czym dokładnie poinformuje mnie na miejscu ppor. Gwiazdowski. Poznałem go na odprawach we Lwowie i Gródku Jagiellońskim.

Ppor. Gwiazdowski był dowódcą kompanii Batalionów Chłopskich Rodatycze. W lipcu zginął biedak oraz kilku jego ludzi w walce z Niemcami w czasie dywersji; zostali otoczeni przez Niemców. Prawdopodobnie sam się zastrzelił; dokładnie nie wiem – w każdym bądź razie zginął. Wieś Rodatycze to bardzo duża wieś leżąca mniej więcej w połowie drogi między Sądową Wisznią a Gródkiem Jagiellońskim, 300 m od głównej szosy. Wieś liczyła około 600 numerów – i to sami Polacy. W czasie pobytu we Lwowie Ela oświadczyła, że chętnie pójdzie z nami, ponieważ już nic nie ma do stracenia. Na drugi dzień spotkałem się z Hawliczkim i Elą, z którymi umówiłem się, że Hawliczek porozmawia z pozostałymi ludźmi, czy zechcą iść z nami do Milczyc, gdzie mamy się zgłosić. Takie było polecenie ostatnie ze Lwowa. Hawliczkowi udało się jeszcze zebrać czterech ludzi; pozostali rano wyjechali za San.

Na drugi dzień postanowiliśmy wyjechać do Sądowej Wiszni, a stamtąd dostaniemy się do Milczyc – i tak się też stało. W nocy popakowaliśmy każdy sobie tobołek i okazyjnie samochodami z Niemcami do Sądowej Wiszni; stamtąd jakoś dostaniemy się do Milczyc.

Rano byliśmy już pod lasem 200 m od Jaworowa, gdzie znajdowały się koszary pobudowane przez Sowietów. Było tam bardzo dużo wojska niemieckiego, które wyjeżdżało przez Sądową Wisznę dalej. Ażeby nie podpaść, to nie będziemy razem wsiadać, a tylko dwóch lub trzech. I tak się też stało. Ja wsiałem z Elą do samochodu ciężarowego z przyczepą, a reszta do innych samochodów. Niemcy chętnie się zgodzili, zwłaszcza, że każdy z nas miał butelkę wódki. W Sądowej Wiszni samochody niemieckie zatrzymały się, daliśmy Niemcom butelkę wódki i kawał kiełbasy własnego wyrobu. Umówiliśmy się, że Hawliczek i czterech ludzi zorientują się, gdzie są Milczyce i nie czekając na mnie pójdą bardzo ostrożnie polami na miejsce; ja z Elą również na drugi dzień będę na miejscu.

Ruszamy w drogę prosto szosą bez żadnej obawy, ponieważ na szosie jest duży ruch, tak w jedną, jak i w drugą stronę (samochody niemieckie). Około 8 km przeszliśmy piechotą do samych Rodatycz. W Rodatyczach znalazłem mieszkanie Jana Gwiazdowskiego; jest to duża gospodarka rolna w samym środku dużego sadu. Całe Rodatycze to same sady. Zauważyliśmy kilka samochodów niemieckich ciężarowych zaparkowanych w sadach. W domu nie zastałem Jana Gwiazdowskiego, tylko jego ojca, matkę i jeszcze parę osób z rodziny. Ojciec, starszy wiekiem, po pięćdziesiątce, bardzo uprzejmy, powiedział, że syna jeszcze nie ma. Syn mu przekazał, że jak przyjdzie Emil, to niech zaczeka. Równocześnie powiedział mi, że syn wczoraj czekał już na Emila. Zapytał mnie, jak mi na imię. Odpowiedziałem: „Emil”, na co powiedział: „Zgadza się”. Dano nam jeść i po posiłku

odpoczywaliśmy z Elą w sadzie.

Przed wieczorem zajechało do Rodatycz masę samochodów ciężarowych niemieckich; parkują w sadach (sam Wehrmacht). Około godziny 21 dano nam kolację. Ojciec trochę się niecierpliwił, że syna jeszcze nie ma. Zaprowadził nas do szopy na koniczynę, przyniósł poduszkę i kołdrę, ażebyśmy odpoczywali, a jak przyjdzie syn, to zaraz przyśle go do nas. W parę minut po tym wylazł po drabinie do nas Gwiazdowski, który co tylko wrócił z Gródka. Rozmawialiśmy kilka minut i Gwiazdowski oznajmił mi, że rano da mi dwóch ludzi, którzy zaprowadzą nas do małej wioski odległej około 7 km, skąd dowódca drużyny da mi ochronę do Milczyc, ponieważ ten teren jest dość niebezpieczny – kręcą się banderowcy. Na tym skończyła się nasza rozmowa. Po krótkiej rozmowie z Elą długo jeszcze rozmyślałem, co będzie dalej i jak jeszcze długo. W całej wsi słychać gwar Niemców, którzy coś robili.

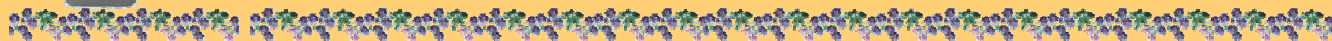
Około godziny 24 obudził nas silny huk, warkot samolotów oraz duża jasność, krzyki Niemców i mieszkańców. Zerwaliśmy się z miejsca i na pół ubrani uciekamy w pole, kryjąc się w plantację tytoniu. Nad Rodatyczami wiszą w powietrzu jakby lampiony, które oświetlają wieś. Uciekamy jeszcze dalej w kukurydzę, ponieważ wyją spadające bomby i następują wybuchy bomb sowieckich. Sowiecka eskadra rzuciła kilka bomb. Jak się później okazało – ani Niemcy, ani ludność nie ponieśli żadnych strat, bo spadające bomby wybuchły wzdłuż pastwiska i łąk między szosą a wioską. Po odlocie samolotów wróciliśmy z powrotem do swego legowiska. Rano obudził nas stary Gwiazdowski, prosząc do izby na śniadanie. W czasie wspólnego śniadania nic nie mówiliśmy na temat mego odejścia, dopiero jak w izbie już nikogo nie było.

Cdn.



# MISCELLANEA

## ab imo pectore



Zenon Rogala

**L**osowanie odbyło się z całym ceremoniałem. Każdy pisał swoje nazwisko i imię na jednej z wielu karteczek wcześniej rozdanych przez wychowawcę, wrzucał do pudełka, z którego, po solidnym wymieszaniu, każdy częstował się złożoną papierową kosteczką. Treść - znana po rozłożeniu karteczki - to jedna z największych tajemnic klasowych.

Składka była niewielka. Ale jak na moje uczniowskie możliwości, była bardzo wielka. Limit na prezent wychowawca ustalił na możliwie najniższym poziomie, bo przecież chodziło bardziej o niespodziankę, niż jakieś kosztowne obdarowywanie się prezentami. Ale nawet najniższa stawka była poza zasięgiem moich możliwości. Od mamy wiedziałem o pieniądzach tylko tyle, że ich ciągle brakuje. Zresztą i ona, i reszta rodzeństwa była w odległym o kilkadziesiąt kilometrów miasteczku.

Problem narastał nieubłaganie wraz z nadciągającym terminem zabawy noworocznej organizowanej w ogromnej auli ogromnego gmachu liceum.

Już nie zastanawiałem się dłużej; dłuższe zastanawianie mogłoby zaszkodzić powziętej już decyzji. Do małego pudełeczka włożyłem mój ukochany scyzoryk. Miał osiemnaście kombinacji, szwajcarskie pochodzenie, które gwarantowało wysoki poziom wykonania. To będzie mój prezent. Dziwne, ale z powodu braku pieniędzy mój prezent był najbardziej kosztowny z wszystkich prezentów klasowych.

O tej wieczornej porze ogromna na co dzień aula wyglądała całkiem inaczej niż wtedy, kiedy przebywałem w niej na apelach, akademiach i próbach chóru.

## RADOŚĆ

Siedzieliśmy klasami przy stołach pokrytych bielutkim papierem. Na podwyższeniu, na którym na co dzień stał zamknięty na kłódkę fortepian Steinway, dziś rozłożyła swe instrumenty orkiestra miejscowej jednostki wojskowej. Wtedy jeszcze nikomu nie przyszło do głowy, że po skończeniu naszego liceum szeregi tej jednostki zasili mój kolega klasowy Stasiu Derejczyk. Póki co, po występie licealnego chóru i wniesieniu dzbanów z herbatą, można było rozpocząć konsumpcję ułożonych w kształcie piramid paczków posypanych białym śniegiem cukru pudru.

- A teraz będzie najbardziej oczekiwany moment wieczoru. Mam nadzieję, że przyniesie wszystkim zadowolenie i radość - rozdanie prezentów! - Karol, nasz wychowawca, miał zawsze krótko ostrzyżony i delikatnie pomalowany wąsik. Był elegancki, zawsze pachnący i starannie uczesany. Może nie był spontaniczny, był dokładnie poukładany i zawsze można było na niego liczyć. Karol to było jego szkolne pseudo. Nic więcej - Karol.

Stał na końcu stołu i wyjmował z wielkiego kosza powiązane kolorowymi wstążeczkami różnej wielkości paczki, paczuszki i zapakowane w kolorowy papier przedmioty wielkością przypominające książki. Czekałem. Trudno... będzie później... taki los... ostatnia paczka dla mnie...

Karol wyjął z kosza ostatnią paczkę, uniósł do góry i głośno, wyraźnie powiedział:

- Stanisław Derejczyk...

A potem:

- Życzę wszystkim radości z otrzymanych prezentów!



# NOCKA

**N**a zmianę przychodziło dwóch. Ważniejszy był piecowy, bo zanim ruszyła robota, piec musiał być już nagrany. Więc piecowy przychodził ciut wcześniej, a pierwsze co wrzucał, to na resztki żarzącego się jeszcze paleniska pierwszą łopatę czarniutkiego węgla. Teraz mógł się rozbierać w łazience i chować do półki metalowej szafki cywilne ciuchy, gdy już był ubrany w brudnobiały garnitur. Latem tylko spodnie, bo gorąc szedł od pieca niemiłosierny; zimą - owszem, marynarka, ale zawsze rozpięta.

Artek był ciastowym. Mógł przyjść trochę później, ale też bez przesady. To on musiał na swoich plecach wytargać z magazynu pękate, brudnobiałe wory. Jak on dawał radę dźwigać je, będąc przygiętym do ziemi? Cóż, musiał trzymać plecy poziomo, żeby pękaty worek spokojnie leżał w czasie swej ostatniej podróży z chłopskiego pola do Piekarni Nr 2 przy ul. Lompy. Najgorsze były te trzy schodki, które należało pokonać. Do schodków kroczyki były drobne; na schodach wolniutko, na każdym schodku obie stopy, pierwsza badała wytrzymałość stopnia i wtedy druga już pewnie stawała obok niej. Worek Artus zrzucił z pleców obok kotła z posrebrzonym wnętrzem. Nad tym ogromnym naczyniem czyhała wielka metalowa łapa, żeby zacząć swój wyuczony dookolny taniec.

Lubiłem nocki. Tak nazywano w piekarniczej gwarze pracę od 22<sup>00</sup> do 6<sup>00</sup>. Oczywiście żadna z tych liczb nie miała znaczenia w rzeczywistości. Najważniejsza była norma. Ciastowy sprawdzał napisane na podłużnej kartce ilości ton chleba nakazane do wypieczenia przez niewidocznego kierownika. Zwykle wtedy wypominał mu głośno jego pochodzenie i zapowiadał, że jak tam wpadnie do tego biura, to ich tak porozstawia po kątach, że długo popamiętają. Chleb nabierał „gary” leżąc w parciany koszykach;

stowem - musiał być włożony do pieca w odpowiedniej chwili. Chwilę tę zna tylko piecowy. Każdy, już wygarowany lepki kęs ciastowy, nacina na ukos żyłką marki Rawa-Lux. Powstaną w tym miejscu pięknie zabliźnione rany, zadane na chwałę każdemu bochenkowi.

Najbardziej lubiłem zapach świeżo wyjmowanych z pieca bułek. Każda szczelina między dwiema półkulami w każdej bułeczce zrobiona była moimi ośmioma palcami, a właściwie opuszkami palców. Wystarczyło ośmioma złożonymi w szereg opuszkami palców wgnieść się w okrągły brzuszek wypukłego placuszka.

Nocka miała też swoich stałych wielbicieli. Już około północy wchodził, jak do siebie, wracający z procentowych spotkań. Drzwi do piekarni, zwłaszcza latem, były otwarte na oścież, więc światło i nasze rozmowy przyciągały amatorów świeżych wypieków. Stali bywalcy dostawali stałą porcję, ale zdarzyło się, że przyszedł całkiem trzeźwy z połową chleba, z której wystawała rozbita żarówka.

- Panowie, ja pójdę z tym do Partii! Wywijał przed oczami piecowego wyszczerbioną oprawką żarówkę. Ryczko wziął od gościa dowód rzeczowy, otworzył ciężkie, z lanego żelaza, drzwiczki i rzucił w czerwona paszczę pieca. Potem zdjął z regału, na wymianę, jeszcze gorący bochenek.

- A jakby pan znalazł w chlebie obrączkę ślubną Rabieja, to niech pan koniecznie odniesie, bo od kiedy wpadła mu do ciasta i upiekła się w którymś bochenku, baba do chałupy nie chce go wpuścić - tak mówił piecowy, ale gościa już dawno nie było.

Świt już zaczynał zaglądać przez otwarte drzwi, więc ruchy ciastowego i piecowego były coraz to wolniejsze. Ja zaś, który nie dość, że dzięki Artkowi przeżyłem wakacyjną przygodę, to mogłem jeszcze przynieść o świcie do domu zapracowany bochenek gorącego chleba...



Skwerek był pokryty grubą warstwą białego puchu, a kiedy weszliśmy tu z samego rana, wydawało się, że wystarczy ująć tę pierzynę w jednym rogu, a podniesie się i zroluje jak w naszej sypialni pierzyna otrzymana od mamy Uli.

- To jeszcze puch po mojej babci - zachwalała - na pewno będzie wam służyła jeszcze długie lata; przecież pod tą właśnie pierzyną poczęła się Ula, twoja żona.

Teściowa była bardzo konkretna. Jak na razie pierzyna służy nam dwa lata.

Jako pierwsi, z szacunku dla bieli ostrożnie i nieśmiało wkroczyliśmy na nieskazitelny teren parku, ale chęć baraszkowania z Blanką i zamiar ulepienia wielkiego, pierwszego tej zimy bałwana, usprawiedliwiły naszą ingerencję w czystość i nieskazitelność tego terenu. Mama i żona zostały w naszym skromnym jednoizbowym mieszkanku, bo moja przepustka z wojska kończyła się właśnie dzisiaj, choć nie wiem czemu zapowiedziałem, że wyjeżdżam wczoraj, a faktycznie mój pociąg czekać będzie na mnie dzisiaj, o dwudziestej drugiej dwanaście na peronie drugim, na stacji naszego maleńkiego miasteczka. Im człowiek jest dalej od miejsca, do którego od dziecka przywykł, tym bardziej tęskni i nie wyobraża sobie życia bez tego miejsca. Dlatego, i tylko może właśnie dlatego, najbardziej brakowało mi w czasie pobytu na ćwiczeniach wojskowych w odległym mieście, osób i miejsc, bez których nie można żyć, a im bardziej człowiek przywykł do osoby, którą kocha, tym bardziej nie wyobraża sobie życia bez niej i jeśli przywykł do niej, i jeśli to ona właśnie staje się treścią jego życia i sensem, zwłaszcza potwierdzonym w istnieniu potomstwa, to wytwarza się wtedy ta niezwykła więź i ten pokoleniowy klej łączący rodziców z ich dziećmi i przodkami.

Bałwan był już gotowy i zwrócony w stronę okna naszego mieszkanka, machał swoją nieruchomą ręką w stronę okna, przez które zerkąta na nas Ula, moja żona i matka Blanki, poczęta pod obecnie naszą pierzyną.

- Pociąg osobowy do Szczecina opóźniony o dwieście czterdzieści minut - to nowina straszna i wspaniała. Mam cztery godziny, no może trzy, bo opóźnienie może się również zmniejszyć; i ta wersja jest dla mnie istotna, czy zdążę wrócić do

## ŚNIEG

swego maleńkiego wszechświata, czy niezbyt zakłócę to wrażenie pożegnania, jakie jeszcze rozdygotane tkwiło we mnie i, jak naiwnie sądziłem, również w mojej żonie Urszuli.

Okno pokoiku było maleńkie, ale wyraźnie, o zgrozo, zobaczyłem przez nie Waldka, byłego chłopaka Uli, który zasiadał na moim miejscu przy maleńkim, jak do teraz wydawało się: naszym wspólnym stole. To ten sam ktoś, kogo zuchwale chciała zaprosić na nasz ślub, co już wtedy wydało mi się czym bardzo niestosownym.

Poczucie klęski dawało mi dziwną siłę. Biegłem jak najdalej od tego miejsca hańby i poniżenia. Jak najdalej od osoby, od tej chwili będącej dowodem mojej życiowej klęski i pohańbienia.

Śnieg składał się z miliona przenikliwych iskier, gorących jak te zimne ognie zapalane kilka dni temu w parku w gronie naszej trzyosobowej rodziny.

Dobrze, że przypadkowo zgubiona wojskowa czapka umożliwiła dostęp do rozpalonej głowy. Wcieratem w nią śnieg jako jedynego przyjaciela, który może pomóc zrozumieć zaistniałą sytuację. Nie przyniosło to zrozumienia ani ukojenia, więc zdarłem płaszcz i kurtkę i nacierałem swoje piersi i ramiona, a także szyję - to co wydało mi się brudne i powleczone hańbą mego życia, ciało moje nieszczęsne. Śnieg milionami swych ostrych końców każdego płatka z osobna wdierał się w krwiobieg i zamiast pobudzać do intensywnego krążenia, zamrażał cząstki mego ciała. W nim, w swoim ciele, upatrywałem intuicyjnie przyczyny mej życiowej klęski. Nie wiedzieć dlaczego całą winę upatrywałem w swoim zniechęconym ciele i tym gestem chciałem je napiętnować.

Biegłem więc jak najdalej od mego gniazda, bez opamiętania i poczucia kierunku. Kiedy wysiłek doszedł do kresu wytrzymałości, okazało się, że stoję o krok od krawędzi tego śnieżnego nawisu, który każdej obfitującej w śnieg zimy zadziwiał swoją grozą, kiedy oglądaliśmy go stojąc na dole. Ale widziany z dołu był czymś innym niż teraz - widziany z bliska. Każdy krok może okazać się ostatnim na pewnym gruncie, każdy następny krok może okazać się ostatnim na pewnym gruncie...

Wiedziałem... i...



## PYTANIE

**J**ak? Gdzie? Kiedy? Którędy?

W jakim celu? Dlaczego?

- oto zestaw najtrafniejszych pytań. Jakiegokolwiek sprawy nie dotkniesz, cokolwiek będziesz chciał wyjaśnić, jeśli jakiś problem stanie ci na drodze, zawsze któreś z tych pytań może posłużyć ci do wyjaśnienia wszelkich zagadek. Właściwe pytanie prowadzi do właściwej odpowiedzi. Jak zestaw kluczy o wszystkich rozmiarach. Trzeba taki zestaw mieć, bo nigdy nie wiadomo, jaką nakrętkę życiową przyjdzie ci odkręcić lub zakręcić. Pracownicy pogotowia ratunkowego idą do nagłych przypadków z wielką torbą, bo w niej są wszelkie medykamenty na wszelkie zdrowotne przypadłości.

Zakład był duży. Na bramie budka portiera-strażnika. Już myślałem, że coś mu się stało, że nagle zaniemógł, bo głowa leżała na dłoniach, a ręce na blacie biurka. Ale kiedy się ocknął i spojrzął na mnie już byłem spokojny. Wzrok mętny. Smutek w twarzy, opadające powieki... po prostu pijany pracownik na służbie.

- Jak stąd wyjechać, żeby dostać się na trasę w kierunku Krakowa? - już żałowałem, że zapytałem, bo głowa ciążyła mu w kierunku wygrzanych dłoni, a ciężkie powieki ciągle opadały i tuliły zamglone oczy do snu. Chwilę to trwało, bo powrót do świata realnego, w dodatku uwarunkowany niełatwą łamigłówką topograficzną, nie był dla świeżo przebudzonej głowy prostym zadaniem.

- Pojedziesz pan tą trasą, co jedzie autobus dwieście dwadzieścia dwa, a za mostem w lewo - wybełkotał...

To był jednak duży wysiłek, bo przemęczona głowa znów wróciła na swoje dawne miejsce, tym razem pokazując drugi profil, wsłuchana w odgłosy płynące z blatu brudnego biurka.

- Gdzie są moje okulary? - pyta prawie przez cały wiersz niejaki pan Hilary. Rzadkie to dzisiaj imię, występowało najczęściej w zeszłym wieku. Dziś jakoś bez powodzenia, nie wiadomo, czy ze względu na brzmienie, czy brak kogoś słynnego, kto nosiłby to imię. Może gdyby jakiś serialowy Hilary, a w dodatku pozytywny bohater, zagościł w naszych domach, może mógłby utorować temu imieniu drogę do popularności.

- Kiedy oddasz należne mi pieniądze? - była zdecydowana i stanowcza. - Kiedy? Pytam ostatni raz i powiedz mi tym razem prawdę, bo jeśli dzisiaj tego się nie dowiem, to nawet nie będziesz miał kiedy żałować. Dziś i tylko dziś czekam na odpowiedź - mówiła prawie nie otwierając ust. Oczy miały spopy iskier, jak przy ostrzeniu noża na obrotowej ostrzałce.

- Słuchaj, musisz mnie zrozumieć... - siedział

w fotelu stojącym na dwóch tylnych nogach, przechylonym do tyłu i kołysał się niedbale, to w przód, to w tył - dzisiaj to ja ci powiem, kiedy możesz znów przyjść i zapytać o to, kiedy ci od-

dam, najlepiej jak przyjdiesz do mnie we...

Widocznie ta postawa, może ta wyraźnie słyszana nonszalancja w głosie, może ta przysłowio-wa kropla właśnie w tej chwili się przelała, bo kobieta gwałtownym, ale pewnym ruchem wyjęła z płaskiej torebki zwykły kuchenny nóż do chleba.

- Nie... już nigdy tu nie przyjdę - prostym ruchem wbiła ten chlebowy nóż w okolice krawata, raz, a potem jeszcze raz. Potem chwilę jakby się zawahała: wziąć, nie wziąć, nie wziąć... nie wziąć... rzuciła czerwonym nożem na blat biurka.

- Którędy dojsz do tej słynnej pieczary, w której podobno mieszka stary pustelnik? - leśny parking był pusty, tylko one siedziały na poboczu, tuż za stoikami borówek.

- Musicie się wrócić kawalek i jak zobaczycie mostek, to przed nim, nie za nim, bo tam też jest ścieżka, ale prowadzi gdzieś indziej. Wejdźcie w tę przed mostkiem i za jakieś dwie godziny dojdziecie - wyjaśniła, widocznie matka; aż wstała, żeby wykorzystać ręce do przekazania instrukcji poruszania się po terenie.

- A dlaczego ty nie w szkole? - zapytałem pytaniem z zestawu podstawowego.

- W jakim celu oskarżony wszedł na posesję o tej nocnej porze? - sędzina, drobniutka jak dziewczynka, pytała znad fałdów swej sędziowskiej togi. Wszyscy dobrze już wiedzą, że oskarżony po pijanemu dokonał włamania i zabójstwa, ale praworządnej procedurze musi się stać za-dość.

- Wysoki sędzie, wszedłem, bo chciałem napić się wody. Trochę mnie suszyło, bo już parę dni jak byłem w ciągu. No i wtedy zobaczyłem, że on podnosi na mnie rękę, więc go uderzyłem, nie chciałem przecież go zabić...

- Dlaczego robisz z siebie idiotę? Dlaczego wmawiasz mi takie bzdury i jeszcze się dziwisz, że nie kupuję twego idiotycznego tłumaczenia? Takich pytań - „dlaczego” - nazbierało się już zbyt dużo. Ostrzegam cię, że moja wytrzymałość na twoje kłamstwa dobiega końca. I nie bądź zdziwiony, jak pewnego dnia wystawię ci walizki przed drzwi. To będzie dzień końca mej cierpliwości. Po tych walizkach to poznasz.

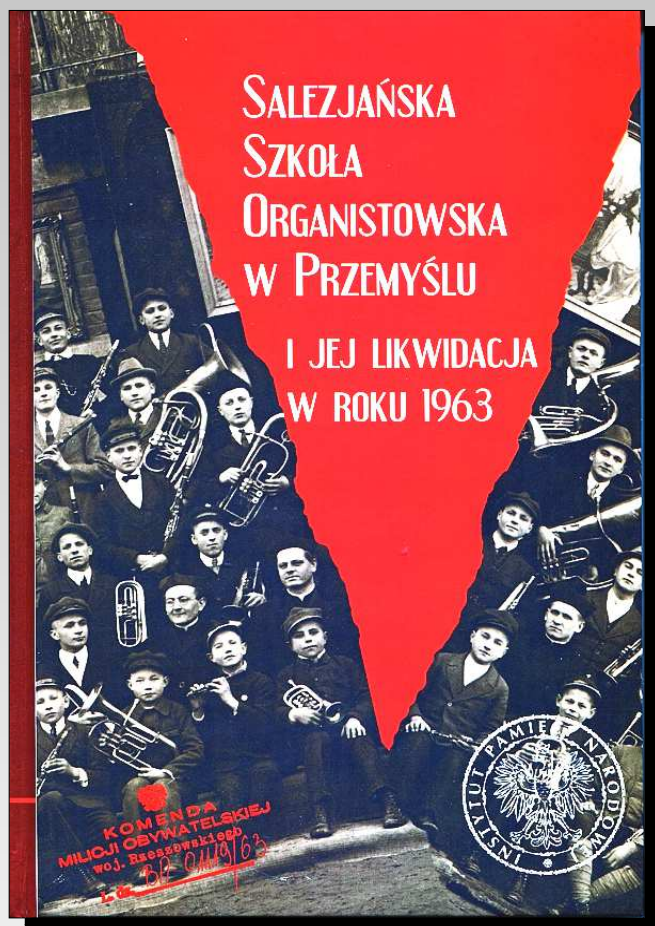
Tylko sześć pytań, a wystarczy na wiele okazji wymagających wyjaśnień. Tylko sześć czy aż sześć, bo przecież właściwie wystarczy to jedno: być albo nie być.





# PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

Czytelnicy, zwłaszcza związani z Przemyślem, zapewne z dużym zainteresowaniem zapoznają się z bardzo ciekawym i wartościowym wydawnictwem, tj. z książką, którą tutaj prezentujemy, zachęcając do jej lektury:



Książka ukazuje dzieje i osiągnięcia Salezjańskiej Szkoły Organistowskiej w Przemyślu w latach 1916-1963 oraz wydarzenia związane z jej likwidacją. Przedstawia posunięcia władz komunistycznych prowadzące do zamknięcia szkoły, jak również sprzeciw salezjanów i społeczeństwa przemysła wobec tych bezprawnych działań.

Publikacja składa się z rozpraw, dokumentów, wspomnień i relacji uczniów i nauczycieli szkoły oraz osób, które były świadkami jej przejmowania.

Uzupełnieniem wydawnictwa są fotografie uczniów i wykładowców, szkolnych zespołów muzycznych i scen z życia salezjańskiej placówki. Po raz pierwszy prezentowane są unikalne zdjęcia, wykonane przez funkcjonariuszy MO podczas akcji na terenie szkoły i wokół niej.

## Książka wydana została przez

Instytut Pamięci Narodowej  
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu  
Oddział w Rzeszowie

Towarzystwo Salezjańskie Dom Zakonny  
w Przemyślu

Pod redakcją  
Robert Witalca i Igora Witowicza

Rzeszów - Przemyśl

## Spis treści

- Przedmowa
- Wstęp
- Rozprawy
- Dokumenty
- Wspomnienia
- Wykaz skrótów
- Bibliografia
- Indeks osób
- Ilustracje

W miłej, przedświątecznej atmosferze odbyło się ostatnie w tym roku spotkanie naszego Klubu.

~  
**Kończący się rok przyniósł rozmaite wydarzenia, w których brali udział członkowie i sympatycy SPP.**

~  
 Na pierwszym miejscu wymieńmy bardzo udaną **wycieczkę do Przemyśla** i jego bliższych oraz nieco dalszych okolic (7-10 czerwca br.; **relacja w QL 80**).

Po długich przygotowaniach wyjazd doszedł do skutku; część uczestników mogła przypomnieć sobie miejsca dobrze znane, inni miejsca te zobaczyli po raz pierwszy. Raz jeszcze podkreślimy, że w zorganizowanie tego wyjazdu najwięcej wysiłku włożyli: **Anna Szalyga-Kuźma** oraz **Czesław Kudła**.

Na powakacyjnych spotkaniach dominowały wspomnienia z wycieczki ubarwione

## Mija rok 2012

pokazem zdjęć (dzięki **Zenonowi Kulikowi**) oraz snucie planów dotyczących wyjazdu przyszłorocznego.

~  
 6 i 7 października br. gościli w Krakowie pasjonaci tworzący „**Przemyskie Stowarzyszenie Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka**” z Prezesem **Jerzym Czuchmanem**. Przyjechali również aktorzy przemyskiego **Teatru Fredreum** kierowanego przez **Krystynę Maresch-Knapik**. Można było obejrzeć dwa przedstawienia: „Sąd nad Szwejkem” oraz jednoaktówkę Antoniego Czechowa „Oświadczyń”. Wśród osób zgromadzonych na Małym Rynku

był m.in. **Leszek Mazan** – znany „szwejkolog” i w ogóle znawca oraz miłośnik CK Monarchii. Stowarzyszenie Przyjaciół Przemyśla godnie reprezentowali: Prezes **Zofia Kamińska-Kudła** i Redaktor naczelny QL **Czesław Kudła**. Dodajmy, że otrzymali oni z rąk Prezesa „Przemyskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka” **Jerzego Czuchmana** „Medal Obrońcy Twierdzy Przemyśl” (**vide QL 81**).

~  
 Niestety, mijający rok przyniósł też smutne wydarzenie. 9 września br. zmarł **Mieczysław Patoczka** – od kilkudziesięciu lat czynnie biorący udział w życiu środowiska ludzi związanych z Przemyślem i Kresami, a mieszkających głównie w Krakowie; (sylwetka Mieczysława Patoczki **na witrynie internetowej SPP na zakładce Silva Rerum**).

Red.









## N A U C Z Y C I E L R E L I G I I

### NAUCZYCIEL RELIGII

Jak wiecie, Żydzi na pustyni żywi-li się manną. Miała ona, wspomina Pismo, smak miodu i nieznaną deli-cji o nazwie „capichit”.

Gdy uczniowie pewnego chederu, studiując księgę Exodus, doszli do owego niepojętego określenia, prze-mądrzały Berek stawia mełamedowi pytanie:

- Rebe, co znaczy słowo „capichit”?

Mełamed jest w nie lada kłopotcie, daje więc wymijającą odpowiedź:

- Uważaj, Berek! Kiedy Żydzi przebywali na pustyni, skończyła im się żywność. I wtedy Pan zesłał im mannę i ona właśnie smakowała jak „capichit” i miód.

- Ja to rozumiem - woła Berek. - Ja tylko nie wiem, co znaczy „capichit”...

- Jak to ty nie wiesz! To przecież zupełnie proste! Słuchaj. Synowie praojca Jakuba przenieśli się do ziemi egipskiej, gdzie namiestnikiem był ich brat, Józef. Najpierw powodziło im się dobrze. Ale w późniejszych latach bardzo ich dręczył srogi Faraon. Wtedy Mojżesz wywiódł ich na pustynię, a tam skończyła im się żywność, więc Pan zesłał im mannę, a ona smakowa-ła właśnie jak „capichit” i miód...

- Tak, ja to rozumiem - upiera się uczeń - ale co znaczy „capichit”?

Mełamed ociera pot z czoła.

- Uf ale ty masz zabita łepetynę! A więc zapamiętaj sobie raz na zawsze! Bóg w sześciu dniach stworzył niebo i ziemię. Adam i Ewa zgrzeszy-li i zostali wypędzeni z raju. A ich potomkowie nadal grzeszyli dlatego Pan zesłał potop i tylko Noe ocalał. Ale ludzie w dalszym ciągu grzeszyli i chcieli sięgnąć do samego nieba.

Wtedy pomieszały się im języki i oni rozproszyli się po całym świecie. Abraham przeniósł się do Ur, a stamtąd do ziemi Kanaan. A gdy pewnego roku zapanował w tym kraju głód, synowie praojca Jakuba przenieśli się do ziemi egipskiej, gdzie namiestnikiem był ich brat, Józef. Najpierw powodziło im się dobrze. Ale w późniejszych latach bardzo ich dręczył srogi Faraon. Wtedy Mojżesz wywiódł ich na pustynię, a tam skończyła im się żywność, więc Pan zesłał im mannę i ona smakowała właśnie jak „capichit” i miód...

Berek płaczliwie:

- Tak, rebe, ale właśnie co znaczy „capichit”?! Mełamed, czerwony z gniewu:

- Ach, ty, nicponiu przeklęty! Co ty właściwie chcesz? Może mam ci opowiedzieć, co było przed stworze-niem świata?!...

## STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYSŁA

w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31-455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: c z q @ o n e t . p l

Rachunek bankowy: PKO BP SA, I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236

Redakcja: Czestaw Kudła – red. nac., M. Frodyma. Współpraca: Z. Ostrowski, M. Kozera.

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE  
STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ  
PRZEMYSŁA W KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ  
NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji  
i skracania nadesłanych tekstów.  
Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są  
z poglądami redakcji.